Opłata pocztowa opłacona gotówką.

28 LISTOPADA
Nr. 46 Rok II.
WARSZAWA 1937



# Podbipięta

## GAZETA TYGODNIOWA

**Cena numeru 30 groszy**

Redakcja: BRACKA 10 m. 16, tel. 9,66-93 czynna jest w dnie powszednie (prócz środy) w godzinach 10—11 i 16—18.
Administracja: CHMIELNA 9 m. 14 tel.: 6,88-92 — czynna jest w dnie powszednie w godz 9—11 i 18—19 w soboty w godz. 9—12.
Prenumerata miesięczna z przesyłką pocztową 1 zł.
Konto P. K. O. Nr. 24545
Pocztowe konto rozrachunkowe Nr. 148.

WITOLD CHWALEWIK

# ROK PRÓB KONSOLIDACJI

Dzieje idei konsolidacyjnej w Polsce są niedługie: sięgają wstecz zaledwie o rok. Warto przyjrzeć się głównym etapom, jakie idea ta przebyła w ciągu powyższego czasu, i kierunkom prób — realizacji, aby z przeglądu wyprowadzić pewne wnioski na przyszłość.

Myśl o konsolidacji politycznej, jak powiedzieliśmy, jest nowa; nie została wytworzona pracą zbiorową, stopniowo, lecz, wysunięta zrazu przez jedną tylko, nieliczną grupę, musiała walczyć przeciw wszystkim zastarzałym nałogom politycznym społeczeństwa, i torować sobie drogę naprzekór powszechnemu z początku niedowierzaniu. Nie była poprzedzona żadną przygotowawczą pracą myśli w opinii: lecz kiedy została rzucona po raz pierwszy, zjawiła się odrazu z dość dokładnym uzasadnieniem swej aktualności i potrzeby. Uzasadnienie to znalazła mianowicie w programowym artykule „Podbipięty“ z dnia 22 listopada 1936 r.: w pierwszym numerze nowego pisma, które powstało wyłącznie w tym celu, aby orędować idei zjednoczenia.

Nie był wówczas jeszcze znany termin „konsolidacja“. w tym znaczeniu, jakie uzyskał niebawem. Wspomniany programowy artykuł „Podbipięty“ zatytułowany był „O normalną Polskę“. Sformułował ideową podstawę poczynań, przedsiębranych następnie w ciągu ostatniego roku przez grupę, skupiającą się dokoła pisma. Nie tylko przy tym głosił ideę, która w owym czasie była absolutną nowością — lecz ujmował ją w sposób, który pozostał oryginalny nawet wówczas, gdy hasło konsolidacji stało się najgłośniejszym, dominującym nad całą polityką polską zawołaniem i nakreślił pewne wskazania, nadal jeszcze — jak po roku widać — aktualne.

Nasze ujęcie problemu różniło się od późniejszych w dwuch ważnych punktach:

Po pierwsze, dostrzegliśmy naród, więc nie zamierzaliśmy go zakładać, ani zawiązywać. Za punkt wyjścia mianowicie wzięliśmy **fakt** istniejącej wspólnoty zapatrywań na główne zagadnienia narodowego bytu. Obca nam była natomiast myśl zastąpienia narodowej wspólnoty zgodą na jakąś deklarację ideową. Nie usiłowaliśmy bowiem tworzyć zgody przez gromadzenie podpisów pod wspólną, choćby najogólniejszą, deklaracją. Zastanawialiśmy się natomiast, jak można by wykorzystać, dla dobra Polski, zgodę istniejącą, nie powierzchowną, lecz głębszą, tę, która łączy dobrych Polaków nawet wtedy, gdy politycznie się różnią i ze sobą walczą.

Po dziś dzień dostrzeżenie tej głębszej zgody stanowi dla wielu polityków rzecz trudną.

— Nie chodzi wcale o zgodę, — mówił mi niedawno pewien mój przyjaciel - piłsudczyk. Chodzi o to, żeby można było przeciwnika dopuszczać do władzy z wiarą, że w czasie sprawowania jej nie zgubi państwa.

A na czemże może się zasadzać ta wiara, jeśli nie na przeświadczeniu, że w istotnych kwestiach poglądy moje i mojego przeciwnika na to, czego państwu i narodowi potrzeba — są zgodne, lub prawie zgodne? Tylko bowiem zgoda w zakresie spraw istotnych — może być podstawą zaufania.

Punkt powyższy uzasadniony był w naszym artykule wstępnym z dn. 22.XI.36 — być może, zbyt lakonicznie.

Przy wielu sposobnościach wracaliśmy oczywiście po tym do tej sprawy, dla lepszego jej wytłumaczenia. Oczywiście przy pomocy dorywczej publicystyki nie spełniliśmy tego, co spełnić dobrze mógłby tylko cały aparat państwowy.

Wspólnota narodowa zamiast zgody na deklarację — to było nasze podstawowe założenie, ktorego nie podzielili inni, późniejsi orędownicy konsolidacji.

Po drugie zaś, z przesłanki powyższej, wyprowadziliśmy wniosek, naszym zdaniem, prawidłowy, — lecz również, jak się okazało, zwłaszcza na tle późniejszego rozwoju idei konsolidacyjnej — oryginalny.

Uznaliśmy mianowicie, że idea zjednoczenia nie wymaga dla swych postępów żadnej nowej zorganizowanej grupy politycznej, żadnego nowego stronnictwa czy obozu, zwłaszcza w okresie, „kiedy głównym złem jest przewaga węższych solidarności nad narodową“. Z naszego stanowiska jasne jasne dla nas było, że ważniejsze jest tworzenie **nowego zaufania** między grupami, niż **nowej grupy;** że najwłaściwszym wyrazem normalizacji politycznej będzie lepsze niż dotychczas współżycie stronnictw, możliwe właśnie na podstawie większego wzajemnego zaufania, w konsekwencji tego, że idee konsolidacyjne znajdą przychylne przyjęcie wewnątrz partyj, zwłaszcza w ich przywódców.

To były najważniejsze założenia teoretyczne nowego programu normalności. Zarazem zwróciliśmy uwagę na dwie sprawy wielkiego praktycznego znaczenia dla wszelkich prac, podejmowanych w celu urzeczywistnienia tego programu. Mianowicie położyliśmy nacisk: 1) na anachroniczność form konspiracyjnych, najbardziej sprzyjających utrzymaniu statut quo, tj. stanu politycznego rozbicia; 2) na wyjątkową rolę, przypadającą do odegrania pokoleniu powojennemu, które dojrzało między rokiem 1918 — 1926, w okresie największej bujności życia ideowego w organizacjach akademickich, i zachowało wspomnienia dobrego koleżeństwa, zarówno z czasów służby wojskowej, jak też z czasów pierwszych walk politycznych, które wzajemny szacunek ugruntowały raczej, niż go zniszczyły. Pokolenie to — jak nieraz wskazywaliśmy — lepiej może urzeczywistnić, przede wszystkim, wewnątrz siebie, dzieło konsolidacji, lepiej od starszych, co wyrośli w okresie, gdy naprawdę nie było w Polsce zgody co do podstawowych założeń politycznych i lepiej od młodszych, co całe swoje wychowanie polityczne otrzymali w państwie, wstrząśniętym świeżą wojną domową i wyrobienie zaczęli zdobywać w walce prymitywniejszej, bardziej bezwzględnej, w której na jakiś czas zaprzepaściło się w ogóle właściwe o wspólnocie narodowej pojęcie.

Ewolucja pojęć szła szybciej, niż mogliśmy pierwotnie przewidywać. W zakończeniu wspomnianego artykułu programowego wyraziliśmy przypuszczenie, że „oznaki poprawy (stosunków politycznych) niebawem staną się dla każdego widoczne“. Nadzieje te ziściły się nadspodziewanie szybko. Od deklaracji ideowo - politycznej pułk. Koca z dn. 21 lutego br. datuje się niewątpliwie moment zwrotny w nastawieniu całej polskiej opinii politycznej: z tą chwilą problem konsolidacji stał się bowiem w polityce zagadnieniem naczelnym, kwestią polityki praktycznej. W tej zmianie nastrojów i zorientowaniu całej opinii ku zagadnieniu konsolidacji, niewątpliwie leży największa polityczno-wychowawcza doniosłość powyższej inicjatywy. W praktyce dawniejsi przeciwnicy nadal pozostali odsunięci od wpływu na państwo. W konsekwencji deklaracja — czemu dziwić się trudno — nie doprowadziła do faktycznego zjednoczenia społeczeństwa w Obozie Zjednoczenia Narodowego, aczkolwiek pod jej tezami podpisać by się mogła z pewnością ogromna większość myślących politycznie Polaków.

Zagadnienie współżycia stronnictw, w szczególności OZN ze stronnictwami, pozostało aktualne nadal i po założeniu urzędowego Obozu Zjednoczenia. Myślą przewodnią założycieli OZN-u, — którzy tak decydująco i pomyślnie wpłynęli na zwycięstwo idei konsolidacji w opinii — nie było unowocześnienie polityki polskiej przez uwzględnienie znaczenia istniejącej, bezimiennej jedności narodowej. Było nią pozyskanie jak największej ilości podpisów pod deklaracją, zjednoczenie narodu przez „akcesy“ do Obozu.

Podobne częściowo metody działania obrali inicjatorzy trzeciej z kolei i najświeższej próby konsolidacyjnej, mianowicie założyciele Konfederacji Polskiej. Ci wspólne mają z twórcami O. Z. N. założenie: tworzyć, czy też stwierdzać solidarność przez zgodę na wspólną deklarację ideową. Poza tem bliżsi są idei „Podbipięty“. Za cel główny uważają dobre współżycie stronnictw (aczkolwiek tylko „narodowych“), nie zaś stopienie ich w jedno; osiągnięciu tego celu służyć ma instytucja sądu, któremu poddaliby się podpisujący deklarację działacze różnych partyj. Sąd, ferując swoje wyroki, miał by doprowadzić, przynajmniej w obozie narodowym, do skrupulatnego przestrzegania zasad politycznej moralności.

Propozycje te zbyt mało, jak dotąd, wywołały szczerej dyskusji. Podejmując ją, powiemy ze swej strony, że zgoda na deklarację nie może pomyślnie zastąpić wspólnoty narodowej; że konsolidacja objąć powinna wszystkie grupy, do narodu należące, a nie tylko w węższym ideologicznym sensie „narodowe“; że wreszcie instytucja sądu przy zaostrzonych animozjach partyjnych nie budziła by niczyjego zaufania, przy złagodzonych zaś nie byłaby potrzebna. Lecz z przewodnią myślą jesteśmy w całkowitej zgodzie: wydaje się nam ona trafna i nowoczesna: chodzi o sposób tworzenia i pielęgnowania zaufania międzygrupowego, powstającego nie na gruncie łączności organizacyjnej, lecz narodowej wspólnoty.

Oto stan obecny problemu konsolidacji: rosnąca aktualność głównej idei, rozbieżność poczynań, zmierzających do jej urzeczywistnienia. Przeciwstawiają się sobie dwie zasady: konsolidacji narodu wewnątrz partii czy obozu, i konsolidacji przez wzrost wzajemnego zaufania między stronictwami. Do drugiej z nich, naszym zdaniem, należy przyszłość. To pewne, że pomimo znacznych już postępów, idea konsolidacji nie zwycięży automatycznie. Wymaga ona dalszej pracy myślowej, i dalszych wysiłków i nakładów dobrej woli: przede wszystkim od pokolenia, które najwięcej ma szans urzeczywistnienia konsolidacji wewnątrz siebie, z doniosłymi dla całego narodu skutkami.

***POGAWĘDKA PODBIPIĘTY***

# Tysiąc na deszczu

Nie oglądałem defilady, ale za to chętnie słuchałem, co się o niej mówi. Bo przeczytanie gazet — to za mało. Defilady w Polsce budzą wielki entuzjazm widzów. Lubię ten entuzjazm, to też wynagradzam sobie nieobecność na defiladzie relacjami świadków.

— Jak zawsze — opowiada mój znajomy — imponowały wszystkim szkoły wojskowe i ósemkowa kolumna nowych podporuczników w hełmach szturmowych z obnażonymi szablami. Zawsze też elektryzuje tłumy widok oddziału marynarki wojennej, a świeżo — kaszubów. I oddziały akademików przyjmowane były przez publiczność z żywiołową serdecznością.

— Ostatnia manifestacja była przecież pokazaniem braterstwa między młodzieżą i armią.

— Świetnie prezentowali się akademicy z korporantami na czele. I jak swobodnie maszerowali w kolumnach szesnastkowych, choć nie przygotowali się przecież do defilady.

— Może trochę mało było studentów, bo podobno niewiele więcej nad tysiąc?

— Obliczają studentów na dwa tysiące. Ale to nie gra roli. Przecież w Warszawie jest akademików około 16 tysięcy przyczym nie wszyscy są stale w stolicy. Trzeba też uwzględnić znaczny procent żydów i kobiet. Następnie wziąć trzeba pod uwagę niepogodę. Dla słabych bucików parogodzinne oczekiwanie na błocie było egzaminem zbyt forsownym, to też wielu studentów musiało choćby z tej racji zrezygnować z marszu, do którego nie byli dostatecznie przygotowani. W tych warunkach półtora tysiąca uczestników pochodu — to nie jest mało.

— Wśród studentów byli przeciwnicy uczestniczenia w defiladzie?

— Owszem, byli. Jedni nie chcieli manifestować w pochodzie, do którego dopuszczeni byli także żydzi, inni znowu opowiadali o sanacyjnej odezwie prezydenta miasta Starzyńskiego i o innych jeszcze.

— Sanacyjnej? Czy to nie jest termin, już dzisiaj przestarzały?

— Niech pan się wczyta w tę odezwę i obejrzy podpisy pod nią, a przekona się pan, jaki to staro-sanacyjny przekładaniec nazwiskowy, mocno mieszany pod względem rasowym.

— Czyżby taka odezwa mogła mieć jakieś znaczenie?

— Trzeba było być na wiecu studentów, odbytym na placu przed Politechniką, aby to zrozumieć.

— Jakież ma pan wrażenia z tego wiecu?

— Przede wszystkim trzeba podkreślić, że był to pierwszy od wielu lat oficjalny wiec ogólnoakademicki w Warszawie. Przekonałem się na nim, że nasza młodzież akademicka piastuje te same tradycje, co dawniej, bo gdy podczas przemówienia jednego z działaczów studenckich na plac przybyli rektorzy wyższych uczelni, mówca od razu przerwał swe wywody, aby powitać przedstawicieli władz akademickich. To ładnie, że młodzież jest karna, posłuszna i ma poczucie hierarchii.

— A same przemówienia?

— Przeniknięte były szczerym duchem żołnierskim. Kto był na wiecu i później oglądał sprężysty krok oddziałów akademickich w defiladzie, ten ani na chwilę nie mógł mieć wątpliwości jak żywe, szczere, prawdziwe jest braterstwo ducha między polską armią i polską młodzieżą. Wie pan, co uchwalili na wiecu studenci? Oto zażądali wykładów wojskowych na wyższych uczelniach. Wiedza fachowa — to dla nich za mało, oni chcą douczać się jeszcze kunsztu wojennego. Na ten cel chcą poświęcić jeden dzień w tygodniu.

— Zrobiło to na panu wrażenie?

— Ogromne. A przy tym dali studenci wyraz obawom co do obecności obcych elementów w naszym wojsku i żądali nie dopuszczania żydów do armii.

— No, właśnie.

— Wypowiedzieli się też przeciwko politykom, którzy mieli by zamiar angażować siły wojskowe do polityki.

— Po pańskich wyjaśnieniach rozumiem dobrze sytuację na wyższych uczelniach przed 11 listopada i podczas samego święta. I cieszą się niezmiernie, że manifestacja braterstwa duchowego między wojskiem a młodzieżą znalazła wyraz należyty, bo przecież jaknajlepsze wrażenie zrobiła na wielotysięcznym tłumach, oglądających defiladę.

— I niech pan doda, że tym tłumem szarych obywateli dziś może tak jak nigdy potrzebne są momenty otuchy i wiary w jutro, uczucia radości ze zgody, która buduje, i harmonii, która jest warunkiem wszelkiego ładu i sensu w życiu.

— Bardzo szczęśliwa była inicjatywa p. ministra spraw wojskowych, aby świętu niepodległości dać właśnie ten charakter, jaki miało w tym roku.

— Dodam tylko jedno: szkoda, że o tej inicjatywie młodzież dowiedziała się dość późno. Nie jest dobrze, gdy przedsięwzięcie, choćby najpiękniejsze nie pozostawia ludziom czasu do namysłu i przygotowań, bo wtedy czują się zaskoczeni. Nawet w najlepszych intencjach nie warto ludzi zaskakiwać podczas święta, albo z okazji święta.

— Słusznie. Człowiek zaskoczony ma to do siebie, że nie oddycha pełną piersią.

— Nie robili na mnie tego wrażenia studenci na defiladzie. Zdawało mi się, że w marszu wojskowym oddychają właśnie pełną piersią. Ten tysiąc na deszczu, idący wśród swoich sztandarów i wśród sztandarów wojska polskiego wydawał mi się pułkiem pionierów lepszej przyszłości.

— Za te słowa zasługuje pan na podziękę całej Polski. Wierzmy w lepszą przyszłość.

**W. D.**

JAN MALEWSKI

# O SPOLSZCZENIE HANDLU

## (Uwagi po Kongresie Kupiectwa Chrześcijańskiego)

W odezwie Naczelnej Rady Zrzeszeń Kupiectwa Polskiego, wydanej z okazji Kongresu Kupieckiego (13 — 15 listopada 1937 r.) czytaliśmy: „Problem handlu i zdrowego stanu mieszczańskiego po raz pierwszy w dziejach wskrzeszonej Rzeczypospolitej staje się jednym z centralnych zagadnień żywo interesujących cały Naród. Proces powstawania i konsolidowania się kupiectwa chrześcijańskiego, obejmujący już dzisiaj całą Polskę, musi otrzymać właściwy kierunek dalszego rozwoju. Trzeba zdecydować się na obranie właściwych dróg usprawnienia wymiany w Polsce, trzeba powiedzieć całemu społeczeństwu, w jaki sposób sami będziemy realizowali nasze plany, czego oczekujemy od Państwa i społeczeństwa".

Problem spolszczenia handlu jest jednym z tych nielicznych zagadnień, co do których opinia większości Polaków jest najzupełniej zgodna. Zażydzenie naszego aparatu wymiany jest tak wielkie, że tylko ci, co nie chcą, nie dostrzegają tego. Sprawa ta była już tylekroć omawiana i dyskutowana, że jest napewno doskonale wszystkim znana, a szczególniej czytelnikom „Podbipięty". Dojrzała ona zresztą najzupełniej do rozwiązania na drodze odpowiednich ustaw i przepisów państwowych. Mam tu na myśli przede wszystkim stopniowe ograniczanie aż do zupełnego wyeliminowania udziału żydów w handlu artykułami rolniczymi oraz w dostawach państwowych (a przede wszystkim w dostawach dla armii).

O szkodliwości żydowskiego pośrednictwa w handlu artykułami rolniczymi świadczyć mogą obliczenia Związku Izb i Organizacyj Rolniczych *). Tak na przykład w obrocie żytem cena płacona przez konsumenta, uwzględniając koszty pośrednictwa i przemiału, stanowi 193 proc. ceny, uzyskiwanej przez rolnika. W obrocie mlekiem i masłem stosunek ten jest jeszcze większy i wynosi aż 225 proc. Pszenica, bydło rogate, jaja — wszędzie konsument płaci ceny około dwukrotnie wyższe od cen, uzyskiwanych przez producenta-rolnika.

W handlu rybami opanowanym niemal w stu procentach przez żydów, stosunki te wyglądają jeszcze gorzej. Tak np. za 16 kg (pud) ryb otrzymuje rybak poleski 3 (trzy) złote. Te same ryby w Warszawie kosztują około 2 złotych za jeden kilogram.

Żydowscy pośrednicy, bo oni to stanowią olbrzymią większość (w handlu niektórymi artykułami dochodzącą do 90 proc.), przez swoją nieudolność i nieuczciwość doprowadzają do tego, że rolnik otrzymuje za produkty ceny bardzo niskie, nieraz nieopłacalne, a konsument miejski za te same artykuły przepłaca. We wspomnianej już książce p. Iwaszkiewicza znajdujemy takie porównanie ze stosunkami niemieckimi:

„Ceny niemieckie, uzyskiwane przez producentów dla większości artykułów, są wyższe od cen, płaconych naszemu producentowi. Zestawienie natomiast cen płaconych za te artykuły przez konsumentów niemieckiego i polskiego, wykazuje wyższy poziom cen detalicznych w Polsce".

Usunięcie żydów, choćby zupełne, z handlu artykułami rolniczymi nie uzdrowi oczywiście odrazu panujących w tej dziedzinie nienormalnych stosunków. Ale usunięcie **nadmiaru** pośrednictwa żydowskiego powinno stanowić pierwszy zabieg leczniczy. Bo jeśli gdzieś jest za dużo drobnych pośredników, podrażających koszty wymiany, usunięci powinni być przede wszystkim żydzi. Dopiero na tak oczyszczonym terenie można rozpocząć dalsze prace nad zorganizowaniem zbytu artykułów rolniczych. W obecnych bowiem warunkach kupiec polski tylko bardzo powoli i z wielką trudnością, a nie zawsze przytym z pomyślnym skutkiem może konkurować z żydami w tej najbardziej może zażydzonej gałęzi naszego handlu, jaką jest handel rolniczy. Że nie chodzi tu o sprawy błahe, niech jeszcze raz (już ostatni, żeby szan. czytelników, a zwłaszcza czytelniczek nie nudzić) świadczą liczby. Według tych samych obliczeń Zw. Izb i Org. Roln. aparat pośrednictwa i przemiału otrzymuje rocznie w obrocie żytem przeszło 157 milionów złotych, w obrocie pszenicą — ponad 118 milionów, w handlu bydłem rogatym — blisko 157 milionów złotych itd.

Zdawałoby się, że kupcy polscy rozumieją doniosłość i niezbędność tego najważniejszego zabiegu chirurgicznego. W pracy nad spolszczeniem handlu handel rolniczy powinien iść na pierwszy ogień. Tymczasem nie było ani jednej rezolucji w tej ważnej sprawie.

Istnieje w Polsce bardzo rozpowszechnione przekonanie, że najlepszym sposobem spolszczenia handlu jest spółdzielczość. Zresztą ma ona być lekiem uniwersalnym na wszystkie choroby naszego życia gospodarczego. Są spółdzielcy, którzy uważają, że wszystkie przedsiębiorstwa przemysłowe, handlowe, wszystkie gospodarstwa rolne powinny stać się albo spółdzielniami, albo należy je upaństwowić.

Niejaki p. Marian Rapacki, formułując na zjeździe Zw. Spółdz. Spożywców Rz. P. „Społem" „program gospodarczy spółdzielczości spożywców" (tacy są ambitni ci spożywcy, że chcą całą Polskę przebudować), wymienia cztery rodzaje przedsiębiorstw jedynie dopuszczalnych w tej „przebudowanej" Polsce: państwowe, samorządowe, spółdzielcze, „oraz mieszane, złożone z powyższych trzech rodzajów". Czy te czwarte mają być tak mieszane, jak coctail, tego pan Rapacki nie był łaskaw powiedzieć. Ale, że taki „program spożywców" można nazwać programem utopii socjalistycznej, to pewne. Tymczasem trzeba stwierdzić, że spółdzielczość nie jest żadnym idealnym rozwiązaniem i że nigdy nie zastąpi ona, jak należy, dobrze zorganizowanego, opartego na solidnych i fachowych kupcach, aparatu wymiany. Wprawdzie w polskich warunkach, gdy ma się do wyboru: żyd czy spółdzielnia, trzeba wybrać spółdzielnię. Należy jednak pamiętać, że jest ona raczej czymś przejściowym i że przede wszystkim należy dążyć od rozwinięcia i ugruntowania samodzielnych warsztatów pracy kupca polskiego indywidualnego.

A robienie ze spółdzielczości jakiegoś ruchu ideowego, chcącego przebudowywać cały ustrój gospodarczy na zasadach spółdzielczych, zakrawa na wielką naiwność.

Najwięcej racji bytu mają obecnie spółdzielnie zbytu rolników oraz spółdzielcze hurtownie kupców polskich. Natomiast spółdzielczość spożywców, korzystająca w dodatku często z różnych przywilejów w stosunku do handlu indywidualnego, jest najbardziej chyba potrzebna dla aparatu urzędniczego, który z konieczności musi zatrudniać.

Zdaje się, że zrozumienie roli spółdzielczości w handlu jest wśród kupców znacznie lepsze, niż wśród szerokich warstw społeczeństwa, gdzie bardzo silnie ugruntowany jest pogląd socjalistyczny o handlu, jako „zbędnym pośrednictwie". Właściwie pojmowanie tej sprawy ma bardzo duże znaczenie dla akcji uzdrowienia handlu w Polsce.

*) E. Iwaszkiewicz — Program prac nad organizacją rynku wewnętrznego. Warszawa, 1935.

# WĘZEŁ WARSZAWSKI

## W NOWYM ETAPIE ROZWOJU

Warszawa, degradowana konsekwentnie do rozmiarów drugorzędnego miasta gubernialnego w imperium rosyjskim, była skazana na skarłowacenie także i w dziedzinie komunikacji. Można rzec bez przesady, że mocarstwa zaborcze zdołały sfałszować i wypaczyć dla względów politycznych nawet geograficzne położenie Warszawy i zepchnąć ją z centrum Europy przez przesunięcie wielkich węzłów komunikacyjnych gdzie indziej, wbrew normalności, a więc zwiększonym kosztem.

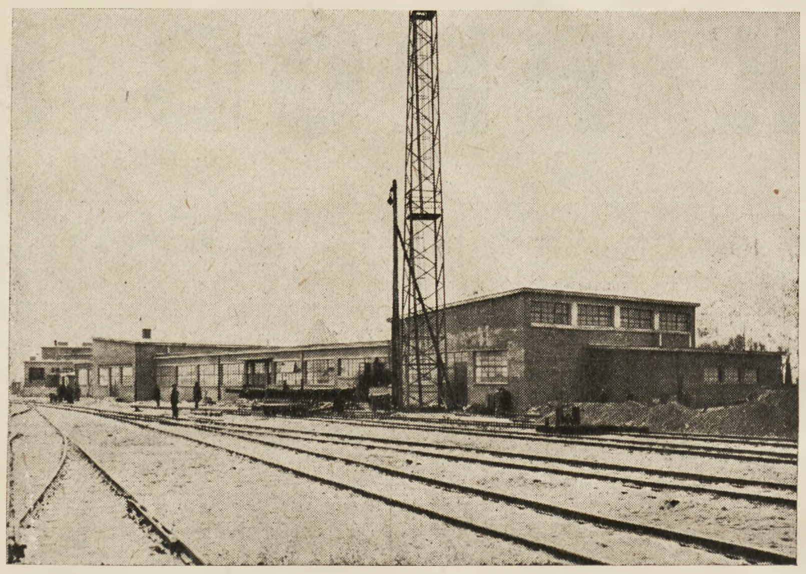
Wskutek tego Warszawa, lubo posiadająca lepsze warunki od wszystkich innych stolic, Warszawa, przepowiedniami najwybitniejszych fachowców przeznaczona, aby stać się największym węzłem kolejowym Europy środkowej, była latami tylko podrzędnym węzełkiem tranzytowym. Na szczęście ta krzycząca nienormalność ma się już ku końcowi. Niebawem otwarte będą trzy nowoczesne dworce: centralny, zachodni i wschodni, z odpowiednią ilością warsztatów, torów i urządzeń technicznych.

Pokazując wykończane roboty przedstawicielom prasy min. Komunikacji płk. Ulrych zaznaczył, że Polska dążyć musi do połączenia się własnymi liniami ze wszystkimi największymi bazami wypadowymi transkontynentalnymi i transoceanicznymi. Naturalne bowiem warunki geograficzne wykazują, że przez Polskę przebiegać musi większość lotniczych szlaków tranzytowych.

Z jasnego i jędrnego wykładu min. Ulrycha przytaczamy poniżej parę ważnych ustępów:

„Główny ciężar przewozów spoczywa na Polskich Kolejach Państwowych, największym w Polsce przedsiębiorstwie, którego majątek obliczony jest na sumę 8 i pół miliardów złotych. Ilość pracowników zatrudnionych na P. K. P. na dniu 1 października b. r. wynosiła 213 tysięcy ludzi, w tym etatowych i stałych wraz z praktykantami i kontraktowymi 131 tysięcy, sezonowych 39 tysięcy.

Odziedziczyliśmy po okupantach sieć kolejową działaniami wojennymi zdewastowaną, zbyt słabo rozwiniętą i niedostosowaną do nowych potrzeb. Zniszczenia były zwłaszcza na Wschodzie tak wielkie, że prawie wszystkie mosty i inne budowle zostały zrujnowane i wymagały zastąpienia prowizoriami. Na inwestycje i na odbudowę Polskich Kolei Państwowych wydatkowano od 1924 r. to jest od chwili ustabilizowania waluty, do 1936r. włącznie 1.372.500.000 złotych, w tym na odbudowę zniszczeń wojennych 65,5 miliona zł. na budowę nowych kolei — 306,7 mil. zł., na inne inwestycje budowlane ok. 628,6 milionów złotych i na tabor około 371,6 milionów zł. Od 1918 r. do obecnej chwili wybudowano ok. 1.742 klm. nowych linij kolejowych, wobec czego długość znajdujących się obecnie w eksploatacji normalnotorowych kolei w Polsce wynosi 18.384 klm., z czego szlaków dwutorowych jest 5.389 klm.



Węzeł warszawski
(fragment stacji na Grochowie)

W październiku bież. roku przebiegało w Polsce przeciętnie dziennie 2.400 par pociągów pasażerskich i 2.118 par pociągów towarowych w dni robocze.

Kolej jako konsument zakupuje w roku bież. materiałów ponad 300 milionów zł. Zakupy te są wykonywane prawie wyłącznie w kraju, tylko nieznaczna ich część ok. 1 i pół miliona zł. dokonywana jest z konieczności na rynkach zagranicznych.

„Przewozy w r. b. kształtują się pomyślnie jak w ruchu osobowym jak i towarowym. W okresie od 1 stycznia do 31 lipca przewieźliśmy 116 milionów osób. Wzrost w stosunku do roku ubiegłego ok. 25 proc.; wpływy wzrosły o 9 proc. Towarów w tym czasie przewieźliśmy 33 miliony ton — wzrost ok. 30 proc.; wpływy wzrosły o 21 proc. Wzmagający się ruch przewozów, gospodarcze potrzeby Państwa oraz postulaty obrony kraju stawiają Polskim Kolejom Państwowym coraz to większe wymagania, zarówno co do szybkości, regularności i punktualności, jak też co do wygody i bezpieczeństwa. Dziesięć głównych linij zbiega się w węźle warszawskim; umożliwiają one tranzyt przez Polskę we wszystkich kierunkach tak w ruchu wewnętrznym jak i międzynarodowym. O natężeniu ruchu pociągów pasażerskich, przechodzących przez linię średnicową, świadczy cyfra 5.740 par w miesiącu październiku, co daje dziennie przeciętnie 191 par. Jeśli więc uwzględnić przyszły rozwój Polski i jej stolicy, to nic dziwnego, że węzeł kolejowy warszawski staje się Molochem, pochłaniającym olbrzymie, jak na polskie stosunki, sumy. Na same roboty budowlane w węźle warszawskim wydano dotychczas około 150 milionów złotych, na elektryfikację i zakup taboru elektrycznego ok. 80 milionów złotych. Razem więc przetrawił węzeł warszawski do chwili obecnej 230 milionów zł.".

Projekt dworca głównego został wykonany w r. 1932 przez prof. Przybylskiego przy współudziale prof. Pszenickiego w części konstrukcyjnej, na mocy wyniku konkursu, który odbył się w r. 1928.

Kubatura części nadziemnej dworca wynosi 146.000 m³, części podziemnej w obr. dworca 111.000 m³. Powierzchnia zabudowy wynosi— 11.000 m².

Wszystkie roboty zostaną zakończone w czerwcu 1939 roku.

Przy budowie używa się wyłącznie materiałów budowlanych wykonywanych w kraju, przy czym zamierzone jest stosować również materiały dotychczas rzadko stosowane, mające na względzie rozwój i zmodernizowanie polskiego przemysłu budowlanego".

Ważne dzieło dobiega do końca nowego etapu rozwojowego. Przypominamy rzuconą już na tym miejscu myśl o pożytku przemianowania przylegającej do dworca głównego części Alei Jerozolimskiej na Aleję Zwycięstwa. Znajdzie to aplauz w polskim społeczeństwie i będzie widomym symbolem nowego okresu.

S. M.



BOHDAN GĘBARSKI

# OJCIEC SERBSKIEJ LITERATURY

## W 150-tą rocznicę urodzin Vuka Karadżica

Prosper Merimée fałszując swój „Wybór poezji illiryjskich"*), oddał jednak z prawdziwym mistrzostwem tę atmosferę zabobonnej grozy, upiorów, widm i strachów, która panowała wczechwładnie w dolinach i leśnych połoninach starej, cudnej Serbii XVIII wieku. Czem bowiem, jak nie atmosferą zabobonnej grozy można usprawiedliwić fakt, że szóstemu z kolei synowi wieśniaków Karadżiców w Trszicy nadano imię Vuka. Zawiódłby się ten, ktoby szukał tego imienia w prawosławnym kalendarzu. Vuk — to wilk, względnie wilkołak, upiór, a nawet, jeżeli to komu dogadza, „król olch". Tak bowiem przetłomaczył jeden z poetów chorwackich niemieckie „Erlkönig". O ile sobie przypominam (cytuję z pamięci) wiersz:

„Siehst, Vater, du den Erlkönig nicht",
brzmi po serbo-chorwacku:



„Babo, zar ne vidiš vuka u noci toj".

Starsze dzieci umarły, więc rodzice chcieli przebłagać moce nieczyste, nadając szóstemu z kolei synowi imię... trochę niesamowite.

Vuk Karadżić urodził się 26 października (st. st.) 1787 r. w wiosce Trszica. Kształcił się w parafialnej szkole w twierdzy Łoznica. Szkoła jednak została zamknięta z powodu epidemii dżumy. Ojciec odwiózł chłopca do klasztoru w Tronoszu. Tu jednak mnisi nie bardzo dbali o jego wykształcenie, zatrudniając go latem pasaniem kóz, a zimą, zapędzając do rąbania drzewa. Vuk poskarżył się ojcu, który go zabrał do domu.

W trybie życia chłopca nie zaszły jednak przez to żadne poważniejsze zmiany. Pasał teraz ojcowskie kozy, zabierając ze sobą do lasu książki i czytał. Były to oczywiście książki treści religijnej, drukowane w języku cerkiewno-słowiańskim. W całej okolicy Vuk uchodził za uczonego, pisał podania stając się, sui generis, radcą prawnym swoich współobywateli.

Gdy w 1804 roku Serbowie powstali, młody Karadżić otrzymał stanowisko pisarza wojskowego. W czasie zawieszenia broni udał się do Sremskich Karłowców (w Chorwacji), gdzie próbował wstąpić do gimnazjum. Ze względu na wiek nie przyjęto go. Uczył się więc przez dwa lata prywatnie niemieckiego, łaciny i cerkiewno-słowiańskiego.

Po otwarciu wyższej szkoły w Belgradzie jeden z pierwszych zapisał się w poczet jej słuchaczów, ale na przeszkodzie do ukończenia uczelni stanęła choroba. Karadżić stracił władzę w lewej nodze i odtąd chodził o kulach.

Po powrocie Turków w r. 1813 Vuk Karadżić wyjechał do Wiednia. Tu zapoznał się ze słynnym uczonym i pisarzem słowenckim Kopitarem i za jego namową zajął się twórczością literacką.

Nie sposób wprost w krótkim artykule omówić całokształtu gigantycznej pracy, jakiej dokonał Vuk Karadżić. Zebrał on przede wszystkim ogromną ilość ludowych pieśni serbskich. Jak wielkie wrażenie wywarły zagranicą te pieśni (tym razem już autentyczne) świadczy fakt, że natychmiast ukazywały się one w tłomaczeniach na inne języki. Z Karadżicem zaprzyjaźnił się znakomity bajkopisarz W. Grimm i wielu innych literatów zachodnioeuropejskich. Działalnością Wielkiego Patrioty zainteresował się nawet Goethe.

Drugim wielkim dziełem Karadżica było stworzenie współczesnego alfabetu serbskiego, który miał zastąpić dotychczasową cyrylicę. Alfabet Karadżica jest zbliżony do rosyjskiego, posiada jednak cztery litery, których w tym alfabecie nie ma, a mianowicie łacińskie *j* oraz trzy litery właściwe tylko serbskiemu alfabetowi dla oznaczenia głosek: *dż, dź, ć*. Rosyjski „miękki znak" został graficznie połączony z poszczególnymi literami, pomnażając znacznie ich ilość. Pismo, które wprowadził Karadżić jest ściśle fonetyczne. Nawet posiadający wielką tradycję alfabet chorwacki, nie miał do niedawna tak sprecyzowanych reguł pisowni, jakie wprowadził Karadżić do swego alfabetu. Naprzykład głoskę dź pisało się po chorwacku raz przez dj to znów przez d przekreślone u góry, lub wreszcie przez samo *j*. Natomiast w serbskim alfabecie głoska ta posiadała ściśle odpowiadającą jej literę. Zasady pisowni Karadżica, to: „każda głoska powinna posiadać swój odpowiednik w literze i pisać należy tak, jak się mówi".

Ale wprowadzając swój alfabet Karadżić walczył o dziecko, które się właściwie jeszcze nie narodziło. Język serbski nie był bowiem wtedy jeszcze językiem literackim. W Serbii pisano i drukowano wyłącznie po cerkiewno-słowiańsku. Literacką serbszczyznę trzeba było dopiero stworzyć. Karadżić przechodząc od wioski do wioski, badał dialekty, spisywał tysiące słów, by wreszcie wydać dzieło swego życia: ogromny słownik języka serbskiego i jego gramatykę.

Właśni rodacy odsądzali go od czci i wiary za porywanie się na świętość, za jaką w oczach ówczesnych światłych Serbów, uchodził język cerkiewno-słowiański. Szczególnie oburzył wszystkich fakt przetłumaczenia Nowego Testamentu na język serbski. Metropolita Stracimirowić i inni dostojnicy kościoła prawosławnego, uczeni, urzędnicy zaczęli zwalczać Vuka namiętnie, rzucając na niego najstraszliwsze oskarżenia. Miał coprawda Karadżić silnego sprzymierzeńca w osobie ówczesnego monarchy, Miłosza, a przede wszystkim wśród licznej młodzieży studiującej. Bez środków do życia, obarczony dużą rodziną, wiecznie zadłużony, tułając się po świecie Vuk Karadżić nie dał się złamać i dożył wreszcie tej radosnej chwili, gdy jego marzenia zostały zrealizowane: alfabet jego stał się urzędowym alfabetem w Serbii, a język serbski zajął w literaturze miejsce cerkiewnej-słowiańszczyzny.

Zmarł Vuk Karadżić na obcej ziemi w Wiedniu 26-ego stycznia 1864 roku.

*) „La Guzla, o choix des poésies illyriques recueillies dans la Dalmatie la Bosnie, la Croatie et l'Hercegowine". Jest to jeden z falsyfikatów z tej samej serii, co „Pieśni Osyana" i „Kralodworski Rękopis". Autor świadomie oszukiwał współczesnych, m. in. nawet Puszkina, który przetłómaczył większość wierszy z tego zbiorku.

# BOLSZEWIZM W RIWERII I SANACJA W COSTAGUANIE

Zostaje mi w pamięci pewna rozmowa z autorem *Dziedzictwa*, Kazimierzem Wybranowskim. Było to w listopadzie r. 1930. Żaliłem się, że nowi powieściopisarze polscy w porównaniu ze swoimi kolegami angielskimi nie umieją opowiadać i mniejszą znacznie mają znajomość świata: na to Wybranowski rąbnął, że w ogóle znają jeden tylko warsztat: łóżko. Po dziś dzień uogólnienie to wydaje mi się wartościowe, ale mówić chcę właśnie o jednym z rzadkich w naszej literaturze zjawisk, co wychodzą po za tę regułę Leży przede mną melodramatyczne studium powieściowe Stanisława Rodeckiego o Riwerii. Tej południowo - amerykańskiej republiki nie ma na mapie: jak nie ma także innej południowo - amerykańskiej republiki: Costaguany, z conradowskiego *Nostroma*. Powieść Rodeckiego nosi tytuł: *Zemsta Martineza*. Melodramat pełnej krwi, wolny od anemiczności literackiej. Opowiadany w szybkim tempie, bez wymyślnych skrótów, czy wybiegów technicznych, ale żywym, nigdy ślamazarnym, słowem urodzonego narratora, interesuje od początku do ostatniej stronicy czterechsetnej.

Jak to jeszcze raz niedawno przypomniał znany krytyk angielski T. S. Eliot (w studium o Wilkinsie Collinsie i Dickensie) — nie można właściwie przeprowadzić ścisłej granicy między naszymi pojęciami melodramatu i dramatu. Melodramat cechować ma większa przypadkowość konfliktów, nie tkwiących dostatecznie głęboko w charakterach; stąd sytuacyjne łatwizny. Mimo to nie da się wyraźnie oddzielić od dramatu i jest rodzajem literackim uprawnionym... Powieść Rodeckiego na nowo zwraca myśl naszą ku temu zagadnieniu.

Jesteśmy w niej wśród bandytów: nawet najznakomitsze rody w Riwerii i sąsiedniej republice Montanie wywodzą się od zbójców, co przyszli z Cortezem i Pizarrem. W żyłach José Martineza płynie ponadto krew indiańska. Gdy sześćdziesięcioletni starzec poprzysiągł zemstę, wypełniła mu ona wszystkie dni żywota do śmierci. Zemsty na całym państewku Riwerii. W czasie wojny podle i nierycersko zamordowany został syn Martineza... Za to Martinez zgubił całą Riwerię, a przynajmniej przyprawił ją o groźne wstrząśnienie: zaszczepi i rozpleni w niej bolszewizm. Taka będzie szatańska zemsta: ale zemsta kapitalisty, Martinez bowiem zdemoralizuje Riwerię nie jako agent czwartej międzynarodówki, lecz jako potentat finansowy. Jest to nie byle jaka okazja do przedstawienia destrukcyjnych wpływów obcego kapitału, i okazję tę autor wyzyska w sposób nader zajmujący. Wysoce kulturalny milioner montański Martinez jest bowiem na terenie Riwerii przedstawicielem zagranicznego pieniądza. Obraca własną wielką fortuną, ponad to współpracuje z Anglikami. Obrazki tych machinacyj na szkodę Riwerii to najcelniejsze bez wątpienia partie powieści. Ujawnia w nich autor satyryczne zacięcie swego pióra, ponadto zaś — przy różnych sposobnościach — przekonywującą a rozległą kompetencję techniczną. Wiercenia naftowe, pożyczka zagraniczna, budowa linii kolejowej przez obcy kapitał, ordynarna chciwość kół regimowych biednej republiki, łupionej przez swoich i przez obcych — wszystko to, mimo karykaturalnych uproszczeń, trafia do przekonania, bo znać, że autor wie, o czym pisze. „Martinez rozumował identycznie, jak swego czasu John Rockefeller, zakładając Standard Oil Company. Czysty producent ropy był, jest i będzie zawsze łatwym żerem dla właściciela rurociągu, rafinerii, tanków morskich i organizacji zbytu". Albo: „Gatunek chomików jest w ogóle obficie reprezentowany w społeczeństwach ludzkich. W południowej Ameryce ciągłe rewolucje, ciągłe niepewności politycznego jutra wpływały wyjątkowo silnie na obyczaj odkładania złota na „czarną godzinę".

Albo zwłaszcza rozmowa o koncesji kolejowej:

Martinez do Anglika:

— Chciałem panu przypomnieć, że projekt kolei pochodzi ode mnie, jakkolwiek pan go opracował.

— Starałem się zrobić wszystko możliwe, aby go zbliżyć do realizacji, odpowiedział Woodehouse.

— Pan jednak nie może sobie zdawać w pełni sprawy, od czego ostatecznie zależy realizacja. Finansiści podejmą projekt jedynie wtedy, jeżeli kosztorysy budowy dadzą im możliwości zysku. Tutejsze osobistości będą chciały również zarobić. Jeżeli rozpocznie pan od niskich kosztorysów, interes będzie nie do przeprowadzenia.

— A więc jak mam ułożyć kosztorys?

— Trzydzieści pięć procent ponad koszty rzeczywiste. Dwadzieścia procent dla finansistów. Piętnaście procent dla czynników decydujących Riwerii. Tak układa się wszystkie koncesje kolejowe na świecie".

Słowem: „Państwo ma kryć deficyty, ale zyski na budowie podzielić mają Anglicy z ludźmi, władającymi Riwerią. Oni mają zebrać bez ryzyka śmietankę. Mleko, może mocno kwaśne, będzie piła ludność kraju".

Tego rodzaju spostrzeżenia i obrazki wysoce uprawdopodobniają nam Riwerię. Swoiste zniewalające prawdopodobieństwo ma też ostateczny nagły wybuch bolszewizmu w zdemoralizowanym politycznie kraju. — Karty zaś najplastyczniejsze w książce, bliskie nawet poetyczności — to opis wybuchu innej ropy: ziemnej, wybuchu nafty w jednym z szybów Martineza (s. 117—118):

„— Niech pan pójdzie na kolację i przyjdzie o 11-ej. Będziemy łyżkować. Może łyżka coś pokaże.

Przyszedłem o jedenastej z latarką elektryczną. Kiedy do dołu wylało się czekoladowe błoto, na powierzchni jego spostrzegłem wychodzące drobne bąbelki.

— Patrz pan, wołał stary, chwytając mnie za rękę, — piaskowiec gazuje. Potem wziął w rękę trochę błota i roztarł na dłoni. — Patrz pan, ile czarnych ziarenek. Tego wczoraj jeszcze nie było.

Czuwaliśmy na zmianę.

Po ławicy piaskowca przyszła parometrowa wartwa czarnego łupku. Świdry się tępiły. Wolno posuwaliśmy się na dół. Potym druga, olbrzymia warstwa piaskowca. Z rury od czasu do czasu buchał już słodkowaty zapach gazu. Woda bulgotała. Aż po przebiciu nowej warstwy czerwonego łupku zaczęło chlapać ropą na szyb i ziemia zaczęła warczeć. Wierciliśmy jeszcze sześć metrów, i z potężnym łoskotem przyszedł wybuch czystej ropy..."

Oto początek tego celnego urywka, uszlachetnionego, jak wiele innych w książce, fachową znajomością rzeczy. Dla laików nie brak różnych niespodzianek. „Gdybyś miał gruźlicę płuc, to radziłbym ci pracować w szybie gazowym. Podobno płuca piorą się tym gazem do czysta, jak rękawiczki w benzynie....".

Kończąc zajmującą powieść, czujemy się w Riwerii, jak w domu. Obracamy się bowiem w kręgu znajomych, zwolna rozszerzającym się. Nie ma wśród nich żywych ludzi, nie ma łudzących prawdą charakterów, i dlatego wartko sunące, gwałtowne, często krwawe, perypetie nigdy nie są naprawdę dramatyczne. Riweria ani na chwilę nie istnieje tak serio jak Costaguana. Dramat jej polityczny nie przejmuje nas tak głęboko, jak ów tak dziwnie bliski zrozumieniu dzisiejszych Polaków dramat losów Costaguana, gdzie rewolucja wojskowa zmiotła parlamentarzystów i zaprowadziła rząd wojskowych, rząd pułkowników. Wizja Conradowska wydaje się niekiedy dziwnie prorocza, (było to przecież pisane w r. 1903!). Chciałbym o niej napisać przy pomyślnej sposobności więcej. Powieść Rodeckiego nie angażuje w tym stopniu namiętności i nienawiści ani autora ani czytelnika. Jednakże stawia nam przed oczy światek, w którym się mimo wszystko aklimatyzujemy. Są w nim zagadki, czy może raczej niedociągnięcia psychologiczne: jak przede wszystkim centralna postać Martineza, kapitalistycznego Wallenroda. Motyw zemsty osobistej pobudza go do niewiarogodnych nikczemności, zwłaszcza wobec przyjaciół, co mu ufają: Janka, Flory: —a jednak to postać to niby zakrojona na miarę bohaterów szlachetnych. O religii, ani głębszej psychologii tego człowieka nic nie wiemy. Więc: właśnie melodramat. Braki swoje okupuje nieraz powieść świetnymi błyskami fantazji: jak np. w rozdziale „Bandyta gubernatorem" — gdzie udziela nam się prawie satysfakcja autora, gdy triumfalnie zamienia on dowódcę bandy w filar państwowej administracji na Kresach Montany. W sumie: ubogiej naszej awanturniczo - melodramatycznej literaturze, w której prym trzyma Wybranowski, ze swą powieścią o masonerii, przybyła pozycja nieprzeciętna. Ameryce południowej jeszcze jedna republika i nowe wstrząśnienie polityczne. Bolszewizm w Riwerii po sanacji w Costaguanie. Lektura interesująca szczególnie dla Polaków. Jaka przy tym składa się seria pseudonimów: Conrad, Wybranowski, Rodecki... Dopiszmy czwarty:

*Jan Rudis*




# Gen. Denikin do Polaków

Leży przede mną broszura, wydana po polsku w Paryżu w 1937 r. nakładem pisma „Dobrowolec" p. t. „Sprostowanie historii" (Odpowiedź Polakom), której autorem jest generał A. Denikin, dowódca dawnej armii ochotniczej. Generał A. Denikin rozpoczyna swoją krótką pracę słowami:

Osiemnaście lat temu rozgrywały się na Wschodzie Europy wydarzenia groźne i krwawe, decydujące o losach Rosji i Polski. Jedna z kart tej przeszłości, najciemniejsza i najtragiczniejsza, być może, w swych skutkach, dopiero w ciągu ostatnich dni ostatecznie wyjaśniona została. Rozumiem tu rolę Polski w walce przeciw - bolszewickiej sił zbrojnych południowo - rosyjskich, którymi dowodziłem, rolę, wyjaśnioną przez gen. gen. Kutrzebę w dziele jego „Wyprawa Kijowska 1920 r." i byłego szefa polskiego sztabu generalnego Hallera w artykule „Nasz stosunek do Denikina" (Kurier Warszawski z dn. 13 czerwca 1937 r. przyp. n.)...

Społeczeństwo polskie nie może poprzestać na urzędowej wersji wydarzeń, mówi gen. Denikin, powinno ono wysłuchać tego, kto był „stroną", w tym historycznym „procesie".

Broszura gen. Denikina posiada znaczną wartość dla historyka, badającego sprawę naszych tajnych rokowań z bolszewikami w r. 1919 i rzuca ciekawe a nowe światło na stosunek do nas wodza rosyjskiej Armii Ochotniczej, zwłaszcza, gdy słowa jego porównamy z twierdzeniem gen. Kutrzeby, że Armia Ochotnicza „pragnęła walczyć o restytucję caratu", twierdzenie oparte na wnioskach robionych zbyt pochopnie.

Ludzie, którzy w tym czasie stali na czele naszego państwa i jego polityki nie dowierzali Rosji, tej Rosji, która szła pod dawnymi sztandarami, lecz bez cesarza, a której stare programy polityczne zawarte były jedynie w słowach o „Niepodzielnej Rosji".

Faktem jest, że zobaczyliśmy niebezpieczeństwo w takich wypowiedzeniach się polityków rosyjskich zwolenników gen. Denikina, jak np. te, które są w moim posiadaniu.

W Nr. 9-ym gazety „Ruś" z dn. 3 września 1919 r., wydawanej w Kijowie, zawarte są słowa o „Jedynej Rosji i szerokiej autonomii przez nią kierowanych ziem".

Inna gazeta „Wieczciernija ogni" z dn. 2 września 1919 r. w art. „Nasze cele" podaje w 7 punktach cele walki, określone przez Nacz. Dow. Armii Ochotniczej, gdzie między innymi, czytamy w p-kcie II: „Odbudowanie jedynej i niepodzielnej Rosji". To samo zresztą napisane było w odezwie gen. A. Denikina, podpisanej w Taganrogu w dn. 12 sierpnia 1919 r., a wydrukowanej p. t. „Nasilienia Małorossii" w Nr. 1 „Kijewlanina" z dn. 3 września 1919 r.

Słowa o odbudowanej i zjednoczonej Rosji raziły naszych mężów stanu i stały przy tym w sprzeczności z „ukraińskimi" pomysłami, dzięki którym doszło do wojny 1920 r., która chociaż w ostatniej swojej fazie zwycięska, pochłonęła tysiące ofiar i uniemożliwiła nam uzyskanie ziem na Zachodzie i ugruntowanie naszego wpływu w Gdańsku.

W obronie swojej gen. A. Denikin przytacza notę werbalną Naczelnika Państwa J. Piłsudskiego, skierowaną za pośrednictwem Boernera do Sowietów:

— „Wspomaganie Denikina w jego walce z bolszewikami nie pokrywa się z polską racją stanu. Uderzenie na bolszewików w kierunku na Mozyrz bezsprzecznie dopomogłoby Denikinowi w jego walce z bolszewikami, a nawet mogłoby być decydującym momentetm zwycięstwa. Polska na froncie poleskim miała i ma wystarczające siły, aby to uderzenie wykonać. Czy wykonała? Czy ten moment nie powinien był otworzyć oczu bolszewikom?".

Generał Denikin, w którego żyłach płynie po matce krew polska i który, jak wskazują liczne kompetentne źródła, nigdy nie odnosił się wrogo do Polski, a wręcz odwrotnie, tak kończy swoją pracę, poświęconą Polakom:

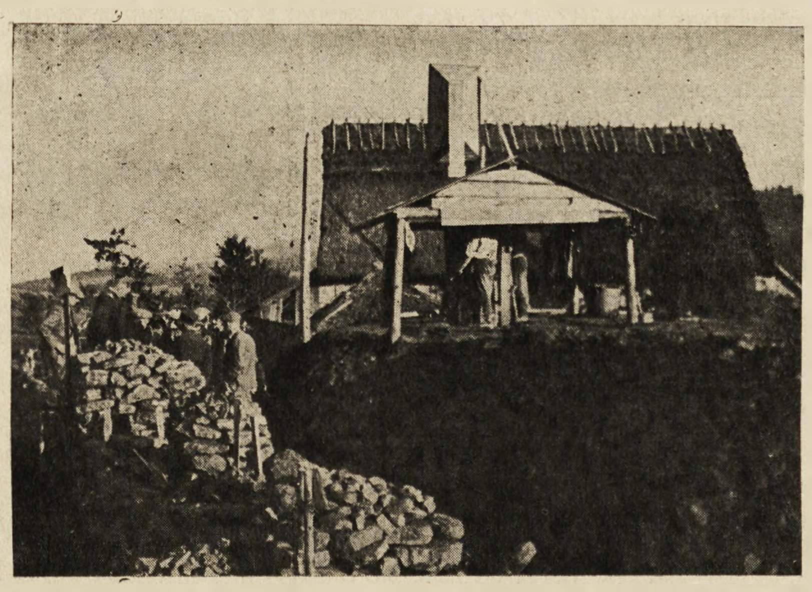
— „Ostrzeżenia Historii nie przynoszą korzyści. Polska na skutek swej polityki, stoi między młotem a kowadłem. Jeśli w pewnych kołach istnieje nadzieja na współdziałanie Niemiec w „planach wschodnich", to przecież może ona zawieść... Korytarz Gdański, Pomorze, Śląsk, może nawet część Poznańskiego — to rzeczywistość; Ukraina natomiast—to ułuda... Nie wykluczona jest również ewentualność, że w razie zniszczenia „planów wschodnich", „wybieg" Marszałka Piłsudskiego może okazać się mieczem obosiecznym... Że kiedyś, gdzieś — nie pod Łuckiem, a powiedzmy — pod Dźwińskiem — niemiecki Boerner spotka się ze Szmidtem rosyjskim i w „zupełnej dyskrecji" przedłoży mu notę werbalną, tej treści: — „Wspomaganie Polski w jej walce z Rosją..."

Nie warto tłomaczyć, pisze w dalszym ciągu gen. Denikin „czem machinacja taka groziłaby Polsce. Czyż tego pragną ludzie, w których nienawiść zagłusza głos krwi i rozsądku? Przekonywać ich byłoby bezcelowe. Zwracam się raczej do Polaków, którzy wierzą w możliwość i konieczność zaniechania wiekowej niezgody rosyjsko - polskiej... Albowiem termin zbliża się i na Wschodzie zachodzą znamienne procesy samopożerania się komunizmu i ocknięcia się Rosji Narodowej... Czyżby trzeba było, by Rosja Odrodzona stała się wrogiem Odrodzonej Polski w ciągu nowego stulecia? I oto zagadnienie wolą losu po raz drugi staje przed Polską i czeka na szybkie, tym razem ostateczne rozstrzygnięcie... W imię dobra obu narodów. Dopóki nie jest za późno" — kończy gen. Denikin.

Rozumiemy obawy patrioty rosyjskiego, jakim jest gen. A. Denikin, i możemy odpowiedzieć na zbyt gorączkowe jego obawy:

Odrodzona Polska nie stanie przeciw Odrodzonej Rosji, jeśli naturalnie ta ostatnia nie wysunie przeciw nam wrogich i nieuzasadnionych politycznych pretensji.

*Jerzy Przywieczerski*



Nowowtarte szyby węglowe w Porąbce, jedna z najświeższych zdobyczy inwestycyjnych Centralnego Okręgu Przemysłowego.

# W listopadzie 1918 roku nie było obrony Lwowa

Dziewiętnaście lat się milczało, ale wreszcie czas to powiedzieć: nie było obrony Lwowa w listopadzie 1918 roku. No, bo czy można bronić tego, czego się nie ma? A myśmy w pamiętnym listopadzie Lwowa nie mieli. 1-go listopada należał on już do Ukraińców, był obsadzony ukraińskimi wojskami. Dom po domu się odbierało, dom po domu, ulicę po ulicy się zdobywało. Dopiero 22-go listopada, gdy obecny generał Karasiewicz-Tokarzewski nadszedł ze swymi oddziałami i dopomógł do przepędzenia wrogów, można mówić było o obronie Lwowa. I od tego dnia Lwów był broniony długo i parokrotnie.

Kiedy dostałem „Krzyż Obrony Lwowa" Nr. 713 z datą 1—22 listopada 1918 r. było już zapóźno. Czyż mogłem wtedy protestować przeciwko nazwie odznaki? Tak samo nie wypadało wysuwać zastrzeżeń w parę lat po tym. Ale dziś, gdy od świetnych dni listopadowych dzieli nas całe lat 19, nikt chyba nie weźmie mi za złe moich obiekcyj.

Spodziewam się, że lwowscy towarzysze pochwalą nawet moje wystąpienie. No, bo można było nawet przez lat 19 niesłusznie uchodzić za obrońców, ale wreszcie w jubileuszowym roku dwudziestym, a więc za rok, w roku Pańskim 1938 trzeba wystąpić we właściwym świetle: zdobywców Lwowa. Nie w całości, broń Boże, częściowo tylko, przeważnie krok za krokiem, ale jednakże zdobywców, a nie obrońców.

Prawda?

W roku zeszłym z łamów „Podbipięty" wspominało się rocznicę wypadków listopadowych, opisując parę fragmentów z dziejów „sekcji warszawskiej", której skład stanowili akademicy z Warszawy, przybyli na zjazd studencki. Przy okazji towarzyszów z tej sekcji usiłowało się zawstydzić, że kiedyś solennie obiecywali spotykać się co roku i gwarzyć o lwowskich czasach a wkrótce o ślubach swoich z kretesem zapomnieli. Mieli zresztą okazję zapomnieć, bo trudy wojenne nie trwały króciutko.

Teraz już jest inaczej. Przypominają sobie. Szukają się. W tym roku jeszcze nic dobrego z tego nie wyszło, ale w roku przyszłym wszyscy mają zamiar zjechać do Lwowa, pomaszerować przez ulice i pomodlić się na grobach Lwowskich Orląt. Byle wtedy nie było takiego błota i nieznośnego „kapuśniaczku", jak 19 lat temu, kiedy jeszcze nas grzała młodość. Przepraszam, że mówię: kiedy nas grzała pierwsza młodość...

*Wacław D.*

# Nieznany list Żeromskiego

**Dwunasta bolesna rocznica zgonu ś. p. Stefana Żeromskiego mija w listopadzie. Na przedwiośniu 1924 r. wielki Pisarz musiał nagle wyjechać dla zdrowia do Włoch, chociaż w Warszawie zatrzymywało Go wiele spraw, w które wkładał serce, — przede wszystkim zaś sprawa teatru, przeistaczającego się wtedy z Rozmaitości w Narodowy. Żeromski przeznaczył dla niego swoją niezrównaną sztukę „Uciekła mi przepióreczka...". Żywy udział brał także w budowie wewnętrznej i w nadawaniu rysów zasadniczych teatrowi Narodowemu. W liście, pisanym do mnie (ogłaszam go poniżej po raz pierwszy), Żeromski wzmiankuje o konkursie dramatycznym, w którym uczestniczył jako sędzia.**

**St. Miłaszewski.**

**Szanowny Panie Dyrektorze!**

**Wyjeżdżałem tak nagle z Warszawy, że nie mogłem się z Szanownym Panem pożegnać, ani zwrócić utworów przesłanych na konkurs. Poleciłem jednak służącej, ażeby rękopisy do Szanownego Pana odniosła zaraz po moim wyjeździe. Czy odniosła? Jakże bym był wdzięczny Szanownemu Panu, gdyby mi raczył donieść w paru wyrazach, czy teatr Rozmaitości (Narodowy) będzie otwarty 3 Maja i czy co słychać z moją sztuką pt. „Przepióreczka"? Jestem tutaj już dziesięć dni, ale mało doznałem polepszenia na zdrowiu. Wciąż kaszel, chrypka, duszność. Coprawda zimno jest sakramenckie, choć niby słońce świeci. Niemców tu taka masa, jakby wszyscy wyemigrowali ze swych pieleszy i tutaj się przenieśli. Nawet Hauptman wyjada tutaj pomarańcze i makaron.**

**Panie Stanisławie, — pod błogosławieństwem proszę o parę słów wiadomości. Łączę wyrazy pozdrowienia dla Szanownej Małżonki Pańskiej, a Pana proszę o przyjęcie serdecznego uścisku.**

**Stefan Żeromski.**

**Santa Margherita Liguro**
**Pensione Laurin.**
**dn. 16.III.1924.**

*W ciągu ostatnich dwu tygodni „Podbipięta" nie ukazał się z powodu trudności materialnych. Z tego też powodu numer obecny wydajemy z datą dnia 28 listopada.*

*Od roku już tygodnik nasz boryka się z brakiem środków pieniężnych, zrozumiałym w wydawnictwie ideowym, nie opartym o żadne stronnictwo czy organizację. Wierząc, iż trudności te wkrótce uda się nam przezwyciężyć, prosimy naszych Czytelników i Przyjaciół o wyrozumiałość dla wynikających stąd niedokładności.*

*REDAKCJA*

WERNER VON HEIDENSTAM

# Z EPOPEI RYCERSKIEJ

Przekład ST. MIŁASZEWSKIEGO

## KASIEŃKO, MATUCHNO!...

Była zimowa noc jasna, gwiaździsta. W taką noc człekowi samotnemu niewiedzieć czemu zbiera się na płacz. Bez ochoty, oziębłej, niż za dawnych lat, witano na ulicach Moskwy pochód wesołków i karłów, z arcybłaznem, papieżem pijackim na czele. Nie w smak były ludowi hulaszcze piosenki, a mięsopustnej krotochwili towarzyszyły szepty o zmowach, zsyłkach i kaźniach. Ilekroć dwóch znajomych zeszło się ze sobą, zawsze słyszałeś klątwy na głowę carską miotane. Popi szemrali przy ikonostasach, że car nie zachowuje postów, że cześć oddaje bogom rzymskim, miast wielbić świętych pańskich. Bojarowie biadali, że niczym pańszczyźniane chłopstwo, muszą pracować, nie znając chwili spoczynku, bo car zamierzył państwo całe przebudować od piwnic aż do dzwonnic cerkiewnych. Głoszono, że oszalał, że godzinami wpatruje się w lupę, chorych leczy jak medyk, buty szyje jak szewc, statki buduje jak cieśla, snycerstwo zna jak majster, a głowy ścina jak kat. A po dniu, na podobnych zajęciach spędzonym, zrywa się od wieczerzy, sadowi wśród muzykantów i biegle gra na bębnie, bo i w tej sztuce nie ma równego. Kupcy po kramach zawodzili z płaczem, że długie wojny rujnują handel do cna. Chłopi szarpali na sobie zamorskie kurty, a niby święte relikwie przechowywali w zanadrzach swe długie brody, zgolone z cesarskiego rozkazu.

Noc była coraz głębsza, gwiazdy coraz to jaśniej świeciły na niebie. Carewicz Aleksy siedział samotnie w komnacie sklepionej, o ścianach szkarłatnych, na których wymalowane były girlandy zieleni. Na podłodze piętrzyły się stosy teologicznych foliałów obok tłoczonych misternie książek z legendami o cudach i żywotach świętych Pańskich. Carewicz, pochylony nad kartą papieru, próbował sklecić list do swej umiłowanej Afrosynii, pańszczyźnianej niegdyś dziewki, co miała włosy jak miedź, a w żyłach krew fińską. Pisanie szło mu niesporo, pióro sterczało się w palcach. Zapomniał, że odebrano mu szpadę i odsunięto od tronu. Marzyło mu się, że w szubie jedwabistej, odziedziczonej po pradziadach, w trzewikach, wysadzanych turkusami, wiedzie rozhowor z uczonymi mnichami, śledząc misterną pracę nadwornego złotnika. Roił, że schodzi do kaplicy i o zmierzchu zimowym mówi pacierze do głowy Chrystusa, patrzącej nań osłupiałymi oczyma ze sklepienia.... A hen naokół, ciągnie się carstwo staredawne, wsłuchane w dzwony kościelne, pełne zbożnego ludu, który nierychło wstaje z łoża, a wcześnie idzie spać. Niespodzianie ozwała się w Aleksym krew Piotrowa i uderzyła mu do głowy: jął wyobrażać sobie, że podczas nocnej pijatyki miota dzbany cynowe we łby bojarów i wielmożów, objawiających wrzaskiem wdzięczność za to.

Skrzypnęły drzwi. W mniemaniu, że nadchodzi ktoś ze służby, gwarzył dalej z dumami. Lecz zasłyszawszy kroki i śmiech w sieniach, obrócił ku drzwiom trupio blade oblicze o zapadłych policzkach i rozumnych oczach. Zobaczył ojca. Car przyszedł w otoczeniu conocnych swoich kompanów. Ci przydźwigali ze sobą długi stół, na którym jarzyło się dziesięć świec, zatkniętych w bochny chleba. Ileż to razy Aleksy, czując się chory, naumyślnie nie wzywał medyka, aby ciężej zasłabnąć i być zwolnionym od podobnych uczt. Jakimże był tchórzem, iż się nie zdobył jeszcze na ucieczkę het daleko z przebraną za mężczyznę Afrosynią, aby wśród winnic neapolitańskich skryć się przed ojcem i raz na zawsze uniknąć jego kija. Cofnął się w kąt pokoju.

— Aleksy! będziesz nam gospodarzył. Siadaj naprzeciw mnie.

Gdy zajęto miejsce przy stole, car najbliższemu sąsiadowi dał w twarz i krzyknął: — Podaj dalej!— Nikt ani przypuszcza, że takich wielkich panów, z którymi car się brata, należy bić po pyskach.

Rozkaz spełniono ochoczo. Klaśnięcia brzmiały raz za razem. Ostatni dostał w twarz adiutant Wiaziemski, siedzący po lewicy cara, oficer młody i niedoświadczony. Gdy mu wypadło z kolei wznieść dłoń do uderzenia, zbladł i struchlałym wzrokiem popatrzył na cara. Wśród ucztujących nikt nie miał więcej względów i łaski u pana, niż ten młodzieniec jasnowłosy, a przecież krążyły szepty, że i on sprzyja synowi i spiskowym. Car postanowił go doświadczyć. Z furią Iwana Groźnego w oczach, ale z uśmiechem dobrodusznym moskiewskiego łyczka, rzekł przeto:

— Wiaziemski! Słuchaj-no, chłopcze. W moim państwie nieomal każdy przeklina moje imię. Patrz, oto twarz moja. Jeżeli przyznajesz rację zuchwalcom — uderzaj. Możem i wart tego samego, co wszyscy. Ale bądź szczery! Chcę tego... i podziękuję ci za to.

Wiaziemski zerwał się i odepchnął krzesło. Zdawało się, że uklęknie. Ale miast tego wlepił wzrok w płomień świecy i szepnął:

— Mam brudne ręce. Pozwól mi je umyć.

Carowi zwisła głowa. I on... Czekał on na co innego.

Wziął próżny kielich i ważył go w palcach. Weszła carowa. Przez cały dzień miała męża na oku. Siadła na krześle Wiaziemskiego. Była ubrana w skromną suknię niebieską. Car, dłoń oparłszy na ramieniu żony, rzekł do Aleksego:

— No, czemu nie pijesz? Dalej. Powtórz. Dobrze. Jeszcze raz. Wstań. Prędzej. Reszta niechaj się nie rusza. Będziesz miał mowę. Czy naprawdę wmawiają w ciebie mnisi, że jesteś ukochaniem i nadzieją ludu?

Aleksy drżał, prężąc się, jak na mustrze. Twarz mu postarzała i zszarzała na popiół. Car pobladł również.

W krzyżowym ogniu pytań nie odzywał się Aleksy ani słowem, uporczywie miętosząc w palcach róg halsztucha.

— Czy to prawda, że nienawidzisz mnie, rodzica twego, który ci dał życie? Czy prawda, że niecierpliwie wyglądasz mej śmierci, by zniszczyć plon moich prac? Czy rzeczywiście doradza ci spowiednik przyjąć palmę męczeńską za lud? Ach, ach, nie tylko ten jest męczennikiem, kto ginie na rusztowaniu wobec tłumu. I ja pragnąłem być ojcem, dobrodziejem ludu... Lecz któż z całą pewnością może się pochlubić, że w księdze Bożych wyroków dzieła jego wpisane będą pomiędzy sprawiedliwe? A lud i jego sądy? Kto wie, czy ten lud nie uzna jutro za szczęście rządów głupca, w którego żyłach leniwie krąży krew gnuśna. Ale nie pójdą w niebiosy te głosy. Kto dał życie, ten mocen jest odebrać je, gdy trzeba... Kasiu, Kasieneczko, czym ja zawinił, że jestem taki samotny na świecie?

Z przymkniętymi oczyma schylił się ku żonie i twarz oparłszy na jej ramieniu, śmiał się i płakał naprzemian. Wśród gości wszczął się popłoch. Zaczęli zrywać się z miejsc i skupiać za plecami carowej. W śmiechu Piotrowym brzmiała tak rzewna, tak dobroduszna serdeczność, że chyba w chłopskiej chacie spotkać by można podobną. Ale wiedziano oddawna, że śmiech carski zwiastuje wybuch wściekłości i wzgardy, więc każdy drżał o życie.

— Kasiu, dziecino miła... W Europie biją medale i wydają paszkwile, w których mnie przedstawiają jako półgłówka i błazna. Cóżem zawinił, żem wszędy taki samotny? Jeden jest tylko wśród ludzi równie samotny, jak ja... Ten, który w Szwecji zbiera wojsko i wiedzie je w góry norweskie... Gdzie adiutant! Dlaczego nie nadchodzi jeszcze! Pragnę zobaczyć, czy choćby jeden z was poważy się okazać mi otwarcie, czy kocha mnie, czy nienawidzi. Niechaj nawet uderzy, jeśli chce!

Z twarzą śmiejącą się i zapłakaną car podniosł głowę, ale carowa zaczęła gładzić go po kędziorach i nucić cienkim, zerwanym głosem ludową kołysankę o łące szumiącej i o straży anielskiej, czuwającej nad prostaczkami w niedoli.

— Pytam was po raz ostatni, co się dzieje z Wiaziemskim? Czy, głupiec małoduszny, boi się, że go siły zawiodą, gdy przyjdzie policzkować cara? A może tam za progiem waha się i zwleka? A może... kocha mnie?

Mienszykow, który sam jeden nie wstał ze swego miejsca przy stole, wstrząsnął olbrzymią, pudrowaną peruką i rzekł, gładząc ordery:

— Za dawnych lat, kiedym był jeszcze kuchcikiem i sprzedawał pierogi na ulicach w Moskwie, potrafiłem, ojczulku, trafić do twego serca przypowieścią. Zdawało ci się wtedy nieraz, że tuż nad uchem huka puszczyk, a z za rękawa wysuwa głowę zły karzeł. Dzisiaj zmieniło się wszystko, postarzeliśmy obaj, i ty, mój dobroczyńco, i ja... Wszakże spróbuję wygodzić ci raz jeszcze i carską twoją wolę spełnię.

Poszedł ku drzwiom, a car wciąż jeszcze dopytywał:

— Dlaczego nie przychodzi adiutant? Czyżby miał ręce tak brudne, że ich nie można wymyć? Pokażecie mi wodę z jego miski!

Mienszykow wrócił niosąc ostrożnie dużą misę cynową, po wręby pełną jakowegoś płynu, który na pierwszy rzut oka przypominał czerwone wino, trochę spienione.

— Twój adiutant nie żyje. Umył ręce w swojej krwi.

Car zamknął oczy i przylgnął twarzą do ramienia żony, a ta, gładząc mu czoło i rozczesując kędziory, słyszała szept:

— Nie kochał mnie Kasieńko... Bał się... tylko się bał, matuchno...

## KOŚCIÓŁ W MARSTRAND

Zwarty tłum mieszczan wyległ na rynek Marstrandzki. Na wszystkich twarzach znać było wzburzenie. Rybak jakiś głosił trwożną wieść, że nieprzyjaciel żegluje wprost ku wyspie i zapewne zamierza ubiec fortecę i miasto.

Dziadek kościelny, Marcin Rosengaard, przecisnął się przez tłum; zdążał on do kościoła, u pasa miał pęk kluczy. W gromadzie nikt nie zagadał do niego.

— Nic tutaj po nim... Stępiał staremu słuch do cna! — rzekł ktoś za jego plecami.

Rosengaard, zasłyszawszy, mruknął do siebie pod nosem:

— Ma stary Marcin pamięć nieladą, choć ogłuchł. Słyszy on dobrze, co mówią wspomnienia. Przeszłość go nauczyła wielkości i męstwa! Póki żyw nie zapomni o pastorze Baggem... Dawno już, dawno, spoczywa dobry pasterz w mogile, mając pod głową dyplom królewski, aż z pod Bender przysłany. Przykładem był wam za życia, więc i z trumny duch jego przewodzić wam będzie. Wspomnijcie wodza, sąsiedzi, bo ciężkie czasy wracają! On przeobraził serca nasze w warownię, która skruszyła przemożnego wroga. Wspomnijcie o tym, bracia, czasu trwogi i klęski! Ty zasię, stary głuchu, bierz się do roboty, niedziela święta nadeszła, trzeba dom Boży oporządzić.

Prostując zgarbione plecy, przyśpieszył Marcin kroku. Gdy zaś przymknęły się za nim kościelne wierzeje, zamigotała w oczach starca serdeczna, cicha radość. Na ołtarzu rozesłał obrus, dzierzgany misternie, do lichtarzy przywiązał lilie i gladiolusy. I znów ocknęły się wspomnienia, wyraziste, żywe. Wydało mu się, że w pustym kościele słychać brzękanie ostróg, szmer mnogich głosów, jak niegdyś.

Niegdyś!... W niedzielę się to działo... Duńczyk zawładnął wysepką. Gyldenlöw, obcy generał, nakazał proboszczowi śpiewać „Te Deum" na cześć króla Krystiana. W stallach sam Gyldenlöw ze starszyzną. Wszędy, gdzie okiem rzucisz, obce twarze. Wzdłuż głównej nawy stoją zbrojni podwójnym szeregiem. Ornat kapłana zblakł jakoś i przygasł: zaćmiły go żołnierskie ryngrafy i kity. Na szarym końcu, przy kruchcie, tłum ludu. W ostatnich rzędach ławek znaczniejsze mieszczaństwo. We wszystkich oczach szwedzkich osłupienie. Mężowie i niewiasty wpatrują się w przestrzeń... Może tam, w złotej smudze słońca na ołtarzu, widzą odbicie własnych lic pobladłych. Poprzez otwarte okna wlatują wróble i świergocą pod stropem.

Bagge kończy ofiarę. Psalmy odśpiewał dźwięcznym i donośnym głosem. Wstępuje na mównicę... Gyldenlöw wstaje i mówi z naciskiem:

— Pastorze Bagge, bądź-że nam dobrym kaznodzieją!

Bagge wysławia zwycięstwo oręźne. Przemawia z ogniem i zapałem. Wilgotnieje niejedna źrenica żołnierska, rozczula się niejedna twarz sroga, niezbłagana. Nadchodzi chwila modłów za monarchę. Kapłan wznosi ramiona i odmawia modlitwę za szwedzkiego króla.

Gyldenlöw wstaje... W kościele tumult, niby przy starciu orężnym. Złorzeczenia i klątwy mieszają się z pobrzękiem ostróg, z chrzęstem rapierów, obnażonych znagła. Rejwach trwa aż do końca cichej modlitwy Baggego.

Żołnierstwo wali hurmem na ambonę, chwytają kapłana. Pojmany, gdy go wloką, powtarza jeszcze raz ową modlitwę zabronioną.

Gyldenlöw krzyczy:

— Jeśli nic więcej nie masz do powiedzenia, klecho, czeka cię śmierć, lub dożywotnie więzienie!

— Jeszcze niejedno chcę powiedzieć, panie!

Szlochanie ludu cichnie. Duńczycy gniew hamują, pełni oczekiwania.

Bagge znów głos zabiera. Modli się o pomyślność wojsk szwedzkich, poleca pieczy Bożej generalicję i prostych żołnierzy, błaga o rychły triumf oręża szwedzkiego, o wyzwolenie miasta i wyspy z pod jarzma.

Gyldenlöw ciężkim krokiem podszedłszy do ołtarza, klaszcze w ręce, okryte rękawicami rajtara:

— Do mnie, warta! Nałożyć mu kajdany! A przed kościołem wznieść pręgierz co żywo!

Kilku żołnierzy biegnie spełnić rozkaz. Koniec łańcucha dzwoni o kamienną posadzkę. Wszakże Gyldenlöw zwraca się jeszcze do Baggego:

— Chcę wierzyć, żeś jest uczciwym pasterzem, że cię zaślepił chwilowy szał. Spróbuję tedy raz jeszcze okazać ci łaskę. Ale na Boga żywego! jeślibyś trwał w uporze, nie minie cię kara. Pamiętaj, że masz tutaj rodzinę i dom. Jeśli okażesz szczerą skruchę, przebaczę. Odstąpcie odeń, żołnierze! Niechaj raz jeszcze przemówi z kazalnicy. Wy, dobrzy ludzie, bądźcie świadkami słów moich!

Bagge zaczyna wchodzić na stopnie ambony. Nagle przystaje i zwraca się do ludu:

— Nie żałuję niczego... Mówiłem prawdę szczerą. Pocóż mam wchodzić na ambonę? Świadectwo prawdzie i na tym miejscu dać mogę.

Gyldenlöw na te słowa sunie ku ambonie, palce jego igrają z rękojeścią szpady. Kto żyw zrywa się z ławy. Bagge zaś ręce wyciąga przed siebie, zamiast je gestem modlitewnym złożyć. Nikt odgadnąć nie może, co znaczy ruch kapłana.

— Jednego mógłbym żałować — rzecze Bagge z mocą... — Oto zbyt długo zwlekałem dzisiaj z modlitwą za króla i to jedynie ciąży mi na sercu.

To rzekłszy, jął się modlić o dobre zbiory czasu żniw, o pomyślną żeglugę, o dobrobyt rolników i o błogosławieństwo dla ziemi szwedzkiej, której wiarę i miłość ślubował, a do której niebawem przyjdzie mu tęsknić w ciemnicy więziennej.

Wówczas pojęli żołnierze, dlaczego ręce wyciągnął przed siebie... Nim słów ostatnich dokończył, już mu wkładano kajdany. Pod strażą kościół opuścił i odszedł ku twierdzy.

# W OJCZYŹNIE MAŁEGO KAPRALA

Można powiedzieć, że oczy całego świata zwróciły się na skromną i zapoznaną choć pełną dzikiej piękności Korsykę — w chwili, gdy na arenę wielkich światowych rozgrywek wystąpił Napoleon Bonaparte - Korsykanin — wielki cesarz Francuzów i wielbiony przez swych żołnierzy „Mały Kapral".

Zainteresowanie Korsyką sprowadzało się jednak na ogół do poznania jej dość powierzchownie i do równie powierzchownej oceny.

Dziki i upajający czar krajobrazu stanowił dla oczu widza zagadkę, niepokojącą i nierozwiązaną. Kraj dziwnych, pradawnych obyczajów i tradycji, na których tle wydobywa się mocnymi barwami postać mieszkańca cudownej wyspy — Korsykanina. Kraj ten zwykło się oceniać krótkimi określeniami, mającymi ująć całokształt na Baedekerow'ską modłę:

„Piękny, górski krajobraz; ojczyzna Napoleona i Vendetty; ta ostatnia świadczy o dzikości, prymitywności i wysoce rozwiniętych krwiożerczych instynktach mieszkańców, zdolnych latami przechowywać w sobie zbrodnicze postanowienia zemsty i odwetu..."

Ta Vendetta zaciążyła nad Korsyką, jak coś w rodzaju opinii o łowcach głów na Borneo. Mało kto stara się wniknąć w przyczyny tego dziwnego, a dziś już zamierającego obyczaju.

A przecież vendetta — to prawo zemsty — każące płacić śmiercią śmierć, raną — ranę — jest wynikiem długotrwałej, wiekowej opresji i niewoli — która w górskim ludzie wywołała naturalną reakcję, zaszczepiając cechy skrytości, nienawiści, chęci zemsty.

Pozbawieni prawidłowego i słusznego wymiaru sprawiedliwości, nie posiadając należnych praw obywatelskich — zostali zmuszeni do wymierzania samym sobie sprawiedliwości — odręcznie. Taki też sposób prowadził do zawikłanych i najniesprawiedliwszych rozwiązań.

Vendetta wyrodziła z siebie rodzaj rycerskiego rozbójnictwa, nie pozbawionego cech wspaniałomyślności i szlachetności.

Historia korsykańskich górali roi się od postaci analogicznych do naszych Janosików, Doboszów itp.

Zarówno, jak vendetta, która rozrosła się do wielkich rozmiarów w stosunkach wewnętrznych i stała się sposobem załatwiania wszelkiego rodzaju sporów, a szczególniej honorowych — tak rozbójnictwo stało się szlachetnym i pięknym, osnutym aureolą podziwu i uwielbienia środkiem zdobycia sobie majątku, czy sławy.

Kryjówki sławnych korsykańskich „bandits de grand coeur" stawały się później miejscami pielgrzymek chciwych wrażeń turystów, podróżników, pisarzy — ludzi, dla których podobne curiosa mogły stanowić istotne tło dla swoistego rodzaju przeżyć — zabarwionych bądź co bądź poważną domieszką niecodzienności.

Korsykanin rodem — znany pisarz francuski Emmanuel Arène, cały zbiór nowel zatytułowany „Le dernier bandit" poświęcił korsykańskim bandytom z rodziny Bellacoscia.

Niedaleko od Bocognano mieścił się prawie historyczny „Palais Vert" — główna siedziba bandytów — opromieniona niezliczoną ilością legend, opowieści, a nawet dykteryjek i kawałów.

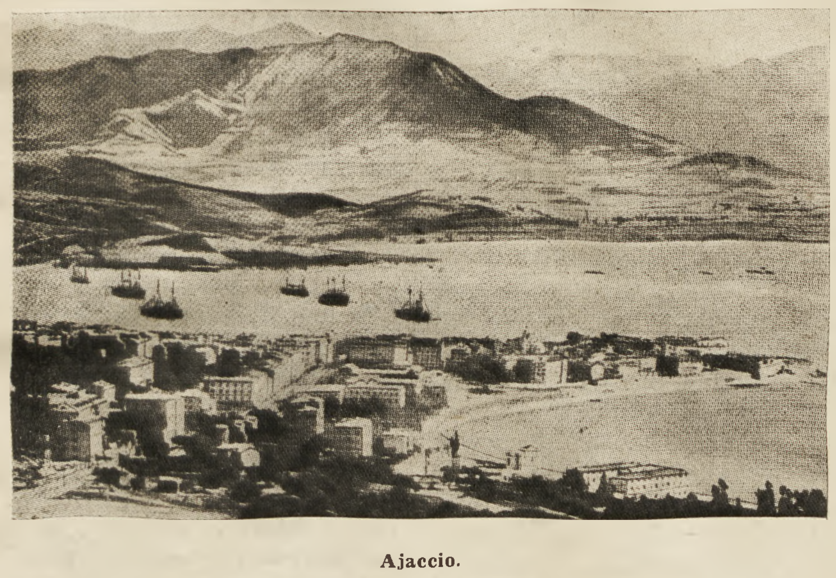
Ten to „Palais Vert" określił Arène, że jest miejscem „skąd widać było prawie czwartą część Korsyki, morze — tak daleko, jak tylko oko sięgnie, a przede wszystkim żandarmów, skądkolwiek by ruszyli w drogę".

Arène był podejmowany przez herszta Bellacoscia'ę w owym „Palais Vert" — wystawnym śniadaniem. Współbiesiadnikami byli: Edmund About — autor „Roi des Montagnes" oraz kuzyn Bellacosci'a — mer Ucciani, mer Vero — wuj herszta i mer Tavera — jego siostrzeniec.

Mer Tavera był zresztą i sędzią pokoju.

Trzej kuzyni — trzeba uzupełnić sielski obrazek śniadających w „Palais Vert" — z dumą zapewne patrzyli na chlubę rodu — herszta Bellacosci'a — w którego orbicie przeszli do historii, jako goście wielkiego hetmana zbójców korsykańskich *).

W „Palais Vert" znajdowało się małe muzeum pamiątek, jakie zostawili tam zwiedzający, był więc wspaniały, ozdobny zegar, wydzwaniający godziny i kwadranse —dar księżniczki Sachsen-Weimar, przepiękne rzeźbione fajki — dar barona Hausmanna, wiele portretów sławnych osobistości z dedykacjami.



Ajaccio.



Widok z Korsyki

Edmund About — jako dank wdzięczności za nader gościnne przyjęcie zostawił tu wielki nóż myśliwski — dzieło sztuki inkrustacyjnej, wykładany srebrem i szlachetnymi kamieniami.

Ofiarowując ów kordelas Bellacosci miał podobno About rzec: „Jeśli w ostateczności będziesz zmuszony się nim posłużyć — to proszę cię na wszystko drogi przyjacielu — nie zostawiaj go przynajmniej w zwłokach ofiary... Na ostrzu wyryte jest moje nazwisko"....

Co do owego „Dernier bandit" Arène'a — to dodać trzeba, że tendencja ludzi pióra, by zamknąć listę sławnych bandytów korsykańskich — określeniem: ostatni — datuje się od dawna.

Właściwie pisać się winno — przedostatni — od czasu Bellacosci „ostatnich" hersztów korsykańskich zbójców było jeszcze bardzo wielu.

Ostatnio zaś „ostatnim" bandytą Korsyki w wielkim stylu — ochrzczono — Spadę.

Trzeba przyznać, że w stosunkach korsykańskich zaszła kapitalna zmiana na lepsze — w drugiej połowie XIX w. i aktualnie w XX w. kiedy to Francja żywo i praktycznie zainteresowała się ucywilizowaniem i ukulturalnieniem obyczajów górali korsykańskich.

Spada — nie tak dawno pojmany przez specjalną ekspedycję karną wysłaną przeciw niemu aż z Francji — był człowiekiem ogromnie popularnym na Korsyce. Nie będąc w pełni władz umysłowych — zdradzał przejawy obłędu religijnego.

Popularność na Korsyce zdobył sobie Spada hojnym wynagradzaniem za oddane sobie usługi, oraz równie hojnym obdarzaniem ubogich.

Ofiarami Spady padali najczęściej zbyt ciekawi i szukający mocnych wrażeń turyści — snobi, którzy sposobność widzenia jednego wodzów korsykańskich bandytów opłacali nietylko utratą pieniędzy i kosztowności, lecz niejednokrotnie i życia.

Policja szukając go natrafiała na ogromne trudności — gdyż ludność niejednokrotnie polecała turystom, chcącym zwiedzić wspaniałe skały i lodowce — jako najlepszych przewodników górskich — bandytów. Stawszy się jednak przewodnikami — wstrzymywali się oni od swych zajęć — można powiedzieć — zawodowych — potrafiąc być naprawdę ciekawymi i ujmującymi gospodarzami górskich przełęczy i tajemniczych uroczysk — gdzie zarośśla spowite w wieczną mglistość — tworzą pejzaże jakby nie z tego świata.

Owa piękna cnota gościnności — to jedna z nader cennych cech Korsykanina, do których dochodzą ujmujący wdzięk prostoty i wrodzonej szlachetności.

Korsyka jest francuska od 150 lat. Lecz to przyłączenie Korsyki do Francji było — przyłączeniem z ducha i krwi. Korsykanie wiernie stawali w każdej potrzebie przy boku swej wielkiej Macierzy Francji — z dumą prawych obywateli — wypełniających swój święty obowiązek.

Iluż wielkich Francuzów, na czele z „małym kapralem" Bonaparte, który położył podwaliny pod historię nowej Europy — pochodzi z cudownej wyspy — Korsyki. Napoleon był Francuzem, lecz i Korsykaninem — do końca życia.

W potędze swego geniuszu, w swych myślach chodził drogami nieznanymi innym — drogami stromymi i dzikimi, a tak wspaniałymi — jakimi tylko potrafią być tajemne ścieżki korsykańskich rycerzy gór i wyżyn.

Ojczyzna, ta najmniejsza jego niezapomniana ojczyzna — Korsyka — dała mu dar przedziwny przekształcenia historii rozpalenia i porwania tysięcy ludzkich serc — dar nieśmiertelności, która zwykła tak często ozdabiać laurowym wieńcem synów nadśródziemnomorskich krain.

**Stanisław Kowalewski.**

*) Co do owego śniadania — to obfitowało ono w doskonałe i pełne komizmu momenty. About, pytając się jakim to cudom zawdzięcza Bellacoscia — posiadanie swego złota i jakich to trzeba sposobów alchemicznych, by móc go skutecznie naśladować — usłyszał odpowiedź nader prostą i ujmującą: „Wkłada się dwie ołowiane kule do luf dwu pistoletów i żąda się złota od tych, którzy go mają za wiele".

Powiedzenie to trawestowano później, zdaje się, w operze Gay'a p. t. „Żebrak". W pewnej chwili, któryś z zacnych merów - kuzynów gospodarza wyraził dość stanowczo swój gust, twierdząc, że woli dobre śniadanie lub obiad, od dobrego utworu literackiego.

„Doprawdy — usłyszał replikę — znajduje się pan w przytłaczająco licznej kompanii. Po pańskiej stronie są wszyscy obywatele Rzeczypospolitej zwierząt z psami i kotami na czele."

# Zgon ś.p. Bolesława Leśmiana 1879 — 1937

Zmarł 5-go listopada poeta Bolesław Leśmian, członek P. A. L. Debiutował jeszcze w „Chimerze" pod przewodem Miriama. Poezję swoją z tamtych czasów sam scharakteryzował, zwracając się po Baudelairowsku do „smutnego brata", czyli czytelnika z wezwaniem: „Pij truciznę mej pieśni, cenniejszą od złota, zaprawioną obłędem wonnym jako kwiaty".

Posmak szaleju z odwarem innych ziół zachowały również jego późniejsze liryki, zebrane w „Łące" i „Napoju Cienistym". Atoli język poetycki, z początku „młodopolski", więc — jak, słusznie określał go K Irzykowski, nadmiernie „obłożony" metaforami z dziedziny mineralogii i szlachetnych metali, z wiekiem się przeistoczył w ustach Leśmiana do cna

Z gwar chłopskich zaczął przejmować ten poeta zwroty najbardziej słowiańskie i słowa ultra-siermiężne. Nie nasycony ludowością już istniejącą, jął także tworzyć samoistnie nowe wyrazy z wyimaginowanej przez siebie wszech-gwary, bardziej rdzennej, jak mniemał, od wszystkich gwar autentycznych.

Dochodził w tych ćwiczeniach do mistrzostwa. Słuch polskich inteligentów, przygłuchły od bezbarwnego szwargotu reportaży i pospolitych rubryk prasowych, wprost oszałamiały takie „Leśmianizmy" jak np. „jucha zieleni", „rzewna bezrobota", „karczma przyzbą przytupująca", „nicości rozsypucha", „cudne bezżałoby" itp., szczodrze rozsypane w jego poezjach.

Może najcharakterystyczniej te „Leśmianizmy" przejawione zostały w następujących zwrotkach „Stodoły":

...„Tyś topolom na drogę cień rzucać pozwolił,
Ale kto je tak bardzo w niebo roztopolił?
Tyś pociosał stodołę w cztery dni bez mała,
Ale kto ją stodolił, by — czem jest — wiedziała?
Stodoliła ją pewno ta Majka stodolna,
Do połowy przydrożna, od połowy polna"...

Śmierć zaskoczyła Bolesława Leśmiana w przede dniu wydania nowego zbioru poezyj pod oryginalnym tytułem: „Dziejba Leśna".

Przedwczesny zgon niepospolitego poety wzbudza żal szczery i powszechny. Jak proste, dostojeństwem prawdziwej polszczyzny tchnące liryki tworzył niekiedy, jak wysoko wzbijał się od czasu do czasu ponad wszelką sztuczność i manierę, świadczy poważny obraz poetycki „W odmętach wieczoru" z takim zakończeniem:

...„Duch, wzwyż stąpając, wciąż schodzi w głębiny...
...Śmierć, co zagrzęzła w odmętach wieczoru,
Z poza chat czubów i przyłbicy młyna
Jeszcze się resztą świateł przypomina
Tobie i twemu wśród sadów jezioru".

Poezji Leśmiana należy się specjalne studium, które będzie niebawem ogłoszone.

**St. Miłaszewski.**

# TYGODNIK LITERACKI

**WYRÓŻNIENIA DLA LITERATEK.**

**Tegoroczną nagrodę literacką otrzymała Maria Kuncewiczowa za całokształt twórczości, ukoronowanej „Cudzoziemką". Jednocześnie wawrzyn złoty P. A. L-u otrzymała, jako jedyna z kobiet — E. Szelburg-Zarembina; winszujemy szczerze tego odznaczenia literatce, umiejącej połączyć głęboką — choć wywołującą pewne zastrzeżenia — myśl religijną — z równie głęboką myślą społeczną.**

**Jednocześnie dawno już zasłużonego krzyża komandorskiego Polonia Restituta doczekała się Maria Rodziewiczówna, za zasługi na polu literatury, oraz oficerskiego tegoż orderu — Zofia Kossak - Szadkowska i dr. St. Wasylewski. Melchior Wańkowicz otrzymał krzyż komandorski Polonia Restituta za zasługi na polu pracy społecznej.**

**ZNOWU PENCLUB**

**Żyjemy w czasach dziwnego paradoksu: nigdy tyle nie gadało się o roli opinii najszerszych mas, o ich ruchach żywiołowych etc. — tymczasem, mamy dziesiątki instytucyj publicznych i prywatnych, żyjących po za sferą grawitacji jakiejkolwiek opinii.**

**Pamiętamy wszyscy skandale z Pen-Club'em latem rb.: niefortunne występy jego reprezentantów w Paryżu potępiła cała opinia polska aż do „Robotnika" włącznie — przyzwoici członkowie warszawskiego Pen-Club'u zapowiadali jakiś rewolucyjny przewrót w jego łonie i... Parę dni temu odbyło się walne zebranie tej instytucji z wyborami do nowego Zarządu — oczywiście, dalej ozdabia go p. Parandowski w asyście Słonimskiego i Breitera; nie wiemy tylko, czy adres hołdowniczy do Steinberga już wysłano, czy się go dopiero redaguje.**

**Ze wszystkich polskich pism literackich staraliśmy się zająć przed paru miesiącami najwyrozumialsze dla Penclub'u stanowi — zamieściliśmy głos jego członka, zapowiadający gruntowne wyświetlenie paryskiego skandalu — obecnie więc mamy pełne prawo moralne domagania się od polskich elementów Penclubu wyświetlenia przebiegu owego walnego zebrania i dalszej swej w nim taktyki.**

**JAN LORENTOWICZ W AKADEMII**

**Na miejsce znakomitego poety K. H. Rostworowskiego wszedł do P. A. L-u Jan Lorentowicz. Zanim podamy obszerniejszy portret literacki słynnego krytyka i essaisty, chcemy podkreślić ogrom jego pracy z samych lat ostatnich; składają się nań 5 potężnych tomów recenzyj p. tyt.: „Dwadzieścia lat teatru" i tom b. ciekawych szkiców p. t.: „Spojrzenie wstecz". O ogromnej wszechstronności i ruchliwości jego umysłu świadczy, że ten teatrolog i literat potrafił napisać kilka ciekawych szkiców z dziejów polskiego socjalizmu, lub o przyjaznym stosunku Augusta Bebla do Polaków, obok całego szeregu ciekawych przyczynków do biografii Prusa, Reymonta, Żeromskiego, Zapolskiej. Tak więc jedynie od niego dowiadujemy się, że Zapolska zaczęła pracę literacką stosunkowo późno — dopiero ok. 28 roku życia; dowiadujemy się o ciekawym buncie literatów w roku 1908 przeciwko wydawcom; o tragedii życiowej Jana Lemańskiego. Najbardziej w tych przyczynkach uderza rys, coraz rzadszy w naszym żelaznym wieku: ciepło i serdeczność, z jaką autor pisze o wszystkich, z którymi się zetknął. Uderzający np. jest szkic o „katastrofie B. Prusa" — o ordynarnej napaści nań studentów-socjalistów w r. 1878 — Lorentowicz, ex-socjalista, okazuje wielkiemu „reakcyjnemu" pisarzowi i obywatelowi tyle współczucia i szacunku, że warto na to zwrócić uwagę dziś, gdy rolę trybunałów, kwalifikujących naukowo i moralnie ludzi, pracujących umysłowo, przejmować zaczynają różne bojówki.**

**Najżywiej, oczywiście, odczuwamy to ciepło, gdy Lorentowicz zatrąca o Żeromskiego — i w tem też przebija się głęboka kultura krytyka, umiejącego odczuć jednostkę niepospolitą, ale przecież tak odeń różną. — Ustępu o przyjęciu przez Żeromskiego nagrody literackiej w r. 1924 niepodobna czytać bez wzruszenia.**

[1]) „Współczesny teatr Polski", t. II, str 84 — 85.

**POŻYTECZNA PRACA**

**Ciekawym zjawiskiem czasów ostatnich jest wzrost zainteresowań heraldycznych. Nowej pracy w tej dziedzinie dokonał ks. W. D. Bryndza-Nacki, proboszcz z Ździar, wydając „Poczet imienny Senatorów i Ministrów Królestwa Polskiego [1]), uzupełniony krótką notatką o urzędach w przedrozbiorowej Polsce. Pewną wadą pożytecznej książki jest nie podanie źródeł.**

**ASKOLD**

**PRZEKŁADY W. MIŁASZEWSKIEJ**

**„Na Cztery Wiatry", słynną powieść Wandy Miłaszewskiej, przetłumaczyła na język czeski M. J. Karasowa, a wydała ją nader starannie i estetycznie spółka „Vysehrad" w Pradze.**

**W przedmowie uwydatnione zostały znamienne cechy znakomitej autorki, jej przenikliwe spojrzenie i żywe odczucie teraźniejszości przy równoczesnym odczuciu przeszłości, z jej osobliwym urokiem. „Powieść o pokoleniu powojennym — głosi przedmowa do czeskiego przekładu — marzącym o życiu ułatwionym, o wygodzie i przepychu. Czworo rodzeństwa wychowane przez matkę pod jednym dachem — to jednak cztery odrębne pomimo to światy. Każde z rodzeństwa dąży drogą swoistą, wie o rodzeństwie tyle, co o obcych... Obraz plastyczny nowoczesnego małżeństwa daje autorka w szeregu scen o potężnym napięciu dramatycznym."**

**Jest to już trzecia powieść Wandy Miłaszewskiej idąca w przekładzie pomiędzy cudzoziemców o własnych siłach, drogą naturalną, bez reklamy i jej kosztownych fanfar z publicznego grosza.**

**„Cmentarz i Sad", drukowany w piśmie tej miary kulturalnej co „Journal des Debats", „Zatrzymany Zegar", wydany w księgarni akademickiej Perrin et Comp., obecnie zaś — po licznych nowelach tłumaczonych na język słowacki — przekład czeski „Na Cztery Wiatry" — oto poważny i zaszczytny sukces bezkompromisowego i rasowego talentu.**

**S. K.**

[1]) Warszawa. 1937, str. 148 in. 8⁰.



# Z DOMU KATOLICKIEGO

**Instytut Akcji Katolickiej Archidiecezji Warszawskiej uruchomił cykl odczytów z dyskusją, poświęconych katolickiej doktrynie o państwie. Pierwszy z cyklu odbył się dn. 9 bm. odczyt ks. Lewandowicza pt. „Nauka o państwie chrześcijańskim w świetle encyklik papieskich". Trudno w sprawozdaniu prasowym omówić wszystkie kwestie, poruszone przez wybitnego kapłana - publicystę — najważniejszą z nich atoli był wykład KATOLICKIEJ NAUKI O ROZDZIALE KOŚCIOŁA OD PAŃSTWA.**

**W ciągu ostatnich dwóch wieków przyzwyczajono nas, że postulat ten oznacza WALKĘ PAŃSTWA Z KOŚCIOŁEM — tymczasem dr. Lewandowicz wyłożył nam katolicką naukę o nim: Kościół i Państwo mają określone sfery działania, choć, oczywiście, muszą się nawzajem wspierać i współpracować. Szan. prelegent nie wypowiedział się definitywnie w sprawie totalizmu — jednakże z wywodów jego wynikało jasno, że dla Kościoła nieznośny byłby stan, w którym usiłowano by go zepchnąć do roli części aparatu państwowego. Prelegent przypomniał negatywne stanowisko św. Augustyna wobec próby Gracjana i Teodoziusza W-go obarczenia biskupów różnymi czysto świeckimi funkcjami — próby, dodajmy, która w Bizancjum doprowadziła Kościół do zupełnej degeneracji [1]).**

— — — — — — — — — — —

**Ze szczerym zadowoleniem witamy inicjatywę J. E. Arcybiskupa A. Kakowskiego, który dekretem powołał do pracy Instytut Wyższej Kultury Religijnej. Zagadnienia religijne coraz żywiej absorbują nowe pokolenie — świadczą o tem choćby gwałtowne polemiki, prasowe na takie tematy, jak stosunek totalizmu do katolicyzmu, lub o rolę dziejową i wartość moralną krucjat - polemiki z udziałem przeważnie ludzi świeckich; tymczasem znajomość przez tych ostatnich choćby historii Kościoła dalej pozostawia dużo do życzenia.**

**TARCZ.**

[1]) Wprawdzie i na Zachodzie w pierwszym okresie średniowiecza duchowieństwo musiało pełnić całą masę tych funkcyj, jednakże tłumaczy się to poprostu tym, że stanowiło jedyną warstwę wykształconą. Łacińskie prawo kanoniczne nigdy nie znało **Nomokanonów** — tych dziwacznych mieszanin rzeczy Bożych z ludzkimi, prawa kanonicznego z administracyjnym etc. Odchylenia od tej zasady dawały zawsze skutki, jaknajgorsze — w Niemczech przetworzenie się szeregu biskupstw w państewka feudalne w dużej mierze wytworzyło warunki, w których mogła się zrodzić Reformacja.

ZDZISŁAW DZIEKOŃSKI

## U. S. A. NA GORĄCO... V

# KRYMINAŁ ZMODERNIZOWANY

Pewnego, naprawdę bardzo pięknego poranka, zazdzwonił do mego hotelu w Chicago miejscowy adwokat, Pan Zygmunt, który zapytał mnie czy nie chciałbym właśnie dziś obejrzeć aresztu powiatowego. Ucieszyłem się ogromnie z tej propozycji, bo oddawna już prosiłem mego prawniczego Cicerone, Mecenasa Zygmunta, ażeby ułatwił mi zwiedzenie amerykańskich zakładów penitencjarnych, ale jakoś zawsze się to nam nie składało.

Za chwilę byłem ubrany i zjechałem na dół, gdzie czekała piękna limuzyna mego przewodnika.

Wyposażeni w „telefony polecające" kilku sędziów polskich z Chicago, po kilkunastu minutach podróży po obskurnych ulicach tej części miasta, stajemy przed gmachem Sądu Okręgowego skąd zabieramy jeszcze Prezesa Związku Adwokatów Polskich, Pana Górskiego i w tak uzupełnionym składzie dzwonimy do bramy pobliskiego więzienia.

W kancelarii aresztu są już powiadomieni o naszej wizycie. Z całą uprzejmością wskazują nam kierunek ku głównej bramie „szarego domu". Wpisujemy do księgi swe nazwiska, oświadczamy, że nie posiadamy przy sobie ani broni, ani żadnych przedmiotów metalowych i — możemy wejść.

Moi towarzysze zginęli już za zakrętem jakiegoś kurytarza, mnie natomiast nie chce służba więzienna przepuścić.

Rozdziera się w niebo głosy jakiś dzwonek, okazuje się, że działa tu t. zw. „elektryczne oko", które wykrywa wszelki metal. Podchodzi do mnie jakiś drab i zaczyna bezceremonialnie łaskotać pod pachami. Rozumiem, że to rewizja, ale zawsze byłem wrażliwy na łaskotki i wcale n[illegible] jest powiedziane, że mam się tego pozbyć podczas wizyty w więzieniu amerykańskim. Drab robi swoje, ja wiję się jak piskorz. Mina „poszukiwacza" zdradza zdziwienie. Nie mam ani bagnetu ani nawet pilnika do paznokci. Pot cieknie mi z czoła. Kto wie, czy zamiast pod „elektrycznym okiem" nie spoczynę na elektrycznym fotelu?

Nagle szeroki uśmiech okrasza poczciwą gębę mego inkwizytora. Znalazł powód zdenerwowania sympatycznego przyrządu. W klapie mojej marynarki widnieje metalowa odznaka. Powód sygnału został odkryty, możemy iść dalej.

Przechodzimy więc najpierw koło budki strażniczej, o szybach ze szkła, którego się „kula nie ima", zapuszczamy się w kurytarze i labirynty ogromnego więzienia, które jakeśmy się przekonali składa się z trzech olbrzymich bloków.

System nadzoru jest bardzo pomysłowy.

Całe więzienie, a raczej jego część „hotelowa" dzieli się na swego rodzaju kwatery, które są pod stałym, bardzo czujnym okiem, jednego strażnika zamkniętego w specjalnej klatce, która ma połączenia telefoniczne, dźwiękowe i za pomocą sygnalizacji optycznej z centralą więzienia. Ani dozorca nie może bezpośrednio komunikować się z więźniami, ani też więźniowie nie mogą w żadnym wypadku dostać się do celi dozorcy. Drzwi od cel otwiera dozorca ze swej kabiny za pomocą elektryczności.

Rano więźniowie wychodzą do niewielkiego pokoju, który jest jakby świetlicą danej kwatery. Są tu pisma, głośnik radiowy. Program radiowy nadaje specjalna stacja więzienna i tylko w wypadku transmisji jakichś bardzo emocjonujących reportaży z meczów baseballa, włącza się jakąś stację miejską. Jest to rzecz zrozumiała. Obywatela amerykańskiego można pozbawić wolności, niema na to rady, ale nie można pozbawiać go emocji base-balla!

Świetlica ma swą ubikację i umywalnie z natryskami oraz bezpośrednie połączenie z kuchnią. Tutaj więźniowie też i jadają.

Odwiedziny więźniów odbywają się w specjalnej ubikacji. Odwiedzający są odgrodzeni kurytarzem i grubymi kratami. Specjalny przywilejem cieszy się tylko adwokat oskarżonego, który nie ma wprawdzie prawa wstępu do celi, może jednak rozmawiać ze swym klientem przez szybę grubości około 8 centymetrów (ostrożność nie zawadzi), która zresztą idealnie przekazuje dźwięki i nawet szept po drugiej stronie płyty słychać bardzo dobrze.

Kaplica, czytelnia, infirmiernia, gabinety lekarzy i dentystów, kuchnie, piekarnie elektryczne, wspaniale zaopatrzone pralnie, lśnią od czystości i porządku.

W ogromnych kotłach skończył się właśnie gotować obiad. Smakowicie zalatuje zapach zupy. Z innego kotła kucharze wyciągają różowiutkie „hot dogs" parówki, polewają je sosem pomidorowym i garnirują sporą porcją smażonych kartofli. Całość robi wrażenie bardzo apetyczne.

W olbrzymich chłodniach obok kuchni wiszą całe ćwiercie cielęciny, nieprzeliczone sznury parówek, wielkie kadzie masła, szmalcu i innych tłuszczów. Wśród konserw, które zajmują całą wielką ścianę, znajduję spory zapas konserw z ananasów, brzoskwiń i moreli.

— Czy to też dla więźniów? — pytam nieco oszołomiony.

— Nie — uśmiecha się nasz przewodnik — te zapasy to „drugi stół" dla Panów Przysięgłych. „The gentlemen of the jury" — podczas dłuższej rozprawy są na naszym wikcie, musimy im więc jakoś osładzać niezawinione uwięzienie.

Wchodzimy wreszcie do jasnej dużej celi. W jednym rogu umieszczono coś w rodzaju wielkiej klatki. Jest to właściwa cela. Urządzenie proste, ale wygodne. Sprężynowe łóżko, umywalnia. Naprzeciw łóżka fotel.

Poza klatką w pokoju stoi biurko i fotel, nic więcej.

— Jest to cela skazańca — mówi przewodnik. Tutaj skazany na śmierć spędza ostatni dzień. W celi zamknięty wraz z nim jest jeden strażnik bez broni. Drugi strażnik siedzi nazewnątrz tej klatki i pilnuje ich obu. Wszystko, aby skazaniec nie pozbawił się życia i nie umknął w sposób nieprzewidziany z pod karzącej ręki sprawiedliwości.

Obok celi skazańca znajduje się pokój, w którym króluje jeden jedyny sprzęt. Jest nim mebel przypominający nieco fotel dentystyczny, a trochę jakiś aparat średniowiecznych tortur.

Krzesło elektryczne!

Przyrząd ten, trzeba przyznać wygląda koszmarnie. Wielkie fotelisko dość topornie zrobione, rozpiera się swym wulgarnym kształtem na środku tego, dość przyjemnie poza tym, wyglądającego pokoju.

Przewodnik proponuje mi żebym usiadł. Zajmuję miejsce na tym oryginalnym meblu. Szyję chwytają jakieś kleszcze, na ręce i nogi spadają zaczepy. Na głowę zjeżdża maska z gąbką. Jestem już przygotowany do egzekucji. Wiem, że prąd jest wyłączony, że wszystko jest „just for funn", ale mimo tego, czuję się dość niewyraźnie.

Cicerone nasz tymczasem wyjaśnia nam tajniki całej straszliwej procedury.

Na przeciw fotela skazańca jest wielka szyba, za którą widzimy drugą jakąś ubikację, przypominającą studio radiowe. Dowiadujemy się, że stąd można przyglądać się egzekucji.

Obok jakieś drzwi. Za nimi kryje się aparatura elektrycznej śmierci. W ścianie okienko, które wychodzi wprost na głowę skazańca. Wszystko gotowe! Szeryf daje znak ręką. 4 gentlemenów naciska 4 kontakty. Jeedn z nich wprowadza w ruch śmiercionośną maszynę, żaden jednak nie wie który kontakt jest naprawdę właściwy.

Prąd spala ciało delikwenta. Nad krzesłem widzimy ogromny komin, okap. Specjalny system wentylacyjny usuwa szybko woń spalonej skór i włosów.

Egzekucja skończona.

W kilka dni po wizycie w „Cook County Jail", znów z Mecenasem Zygmuntem zwiedzam chlubę więziennictwa amerykańskiego „Jolliet Statesville". Więzienie karne w Jolliet pod Chicago.

Przeraża ogrom tych urządzeń karnych. W starym i nowym więzieniu, rezyduje obecnie 5400 ludzi!

W ogromnej sali jadalnej zasiadło do posiłku 3 tysiące więźniów. Sala jest okrągła, więźniowie siedzą jeden blisko przy drugim klinami, których ostre końce zbiegają się przy wieżycy strażniczej. Na wieżycy w dwóch kondygnacjach czuwa stale kilku wycelowanych i gotowych do strzału karabinów maszynowych.

Budynki mieszkalne to olbrzymie rotundy trzypiętrowe. Cele dwuosobowe, jedna przy drugiej na trzech poziomach. Każdy więzień ma światło dzienne.

Wszyscy widzą wszystkich. Środek wielkiego okrąglaka pusty, zaopatrzony w dobrze uzbrojoną wieżycę strażniczą. Obok niej piękne palmy, trochę kwiatów. Zaraz w pierwszej celi rzucił mi się w oczy ciekawy obrazek. W klatce więźnia... klatka z kanarkiem.

— W nagrodę za dobre sprawowanie pozwoliliśmy mu mieć ulubionego ptaszka — wyjaśnia dozorca.

Więźniowie nie spędzają całego dnia w celach. Po śniadaniu idą odrazu do rozlicznych warsztatów. Zakłady szewskie, introligatornie, fryzjernie, drukarnie i t. p., pochłaniają wielką rzeszę bezpłatnych pracowników.

Zwiedzamy oddziały dla niepoprawnych, oddziały specjalnie obostrzonej „pokuty" za jakieś przestępstwa przeciwko regulaminowi. Ponure cele, bez światła dziennego, bez tych wszystkich wygód jakie mają normalni więźniowie. Menu proste: Chleb i woda.

Oprowadza nas po swym zakładzie sam naczelnik więzienia, gruba ryba w tym światku, Mr. Jeseph E. Ragen. Jest dumny z urządzeń swojej instytucji i stwierdza, że jest ona jedną z nielicznych tego typu w Stanach Zjednoczonych.

Przechodzimy długimi kurytarzami z jednego budynku do drugiego. Po drodze spotykamy więźniów luzem chodzących, którzy jak nakazuje regulamin obracają się na widok władzy twarzą do ściany.

Wszyscy ubrani są w popielate spodnie i popielate w jakieś ciemniejsze paski koszule. Nie ma żadnych mundurów w typie Sing Sing. Więźniowie nie mają na swych ubraniach numerów.

Na wielkich boiskach między poszczególnymi odddziałami grają właśnie w base ball. Gwar, wesołość i energia pierwszorzędne. Czy to naprawdę więzienie?

Ale zaraz przekonujemy się, że to jednak nie liceum. Czwórkami wraca z pracy wielka kolumna więźniów do cel. Tępy wzrok, charakterystyczne opuszczenie ramion, beznadziejność i rezygnacja. Tak, to jest jednak więzienie.

Pan Ragen pokazuje nam wszystko. Tutaj w tym właśnie oddziale wybuchł przed kilku laty bunt, który kosztował życie kilkunastu strażników, tutaj właśnie w tej ubikacji popełnił samobójstwo jakiś głośny bandyta, gdzieindziej znów powstał pożar, który omal nie skończył się katastrofą. Pod pokrywką spokoju i zadowolenia, kryją się jednak jak zawsze, jak w każdym, najlepszym nawet więzieniu, bunty, akty rozpaczy i beznadziejnych porywów ku wolności.

W kancelarii naczelnika więzienia zwrócił moją uwagę oryginalny zegar. Jest to dar jakiegoś więźnia na urodziny obecnego władcy Joliet. Zegar jest umieszczony na drewnianej tarczy o ciekawym przybraniu. Na samej górze w niedbałych pozach rozłożyli się dwaj panowie w mundurkach jak z Sing Singu, pod zegarem zaś widnieją emblematy gangsterskiego fachu: rewolwer, jakieś łomy, wytrychy i inne przyrządy. Ponad wszystkim zaś góruje napis: „He makes time" co znaczy, że zegar „robi czas", ale jednocześnie w gwarze złodziejskiej znaczy poprostu „odsiadywanie". „Robić swój czas", jako jedyne coś kolwiek warte w więzieniu zajęcie. Właściwa filozofia kryminału.

Więzienie produkuje swoje własne materiały na ubrania, meble do urzędów i biur, fotele plecione do ogrodów, szczotki, łóżka do szpitali, materace i wiele, wiele innych artykułów.

Oczywiście przemysł więzienny jako tańszy zaczął się stawać poważną konkurencją na rynku. Spowodowało to niesłychaną burzę w Kapitolu Waszyngtońskim i Rząd Stanów Zjednoczonych musiał obiecać, że nie będzie wprowadzał wyrobów więziennych na rynek, a tylko wykorzystywał je na swój własny użytek. Wobec tego, obecnie oskarżony, ma tę drobną satysfakcję, że skazujący go sędzia, buja się na fotelu, który pochodzi z ręki kolegi gangstera, butlegera, czy innego niebieskiego ptaszka.

Przy wyjściu z więzienia, każdy „pensjonariusz" otrzymuje przyzwoite cywilne ubranie i 10 dolarów na drogę. „Good luek" — wszystkiego dobrego! Probój zacząć nowe życie.

Kończyliśmy już zwiedzanie więzienia, gdy w jakimś przejściu spotkaliśmy uśmiechniętego, siwiutkiego jak gołąbek franciszkanina, obładowanego górą jakichś paczek i paczuszek.

— Oto nasz kapelan — przedstawił nam zakonnika Mr. Ragen — goście nasi, Ojcze, są prawnikami z Polski.

Franciszkanin oddał swe paczki murzynowi i serdecznie się z nami przywitał.

— Musicie obejrzeć i moje królestwo — nie wypuszczę was bez tego.

Królestwo kapelana to kaplica i biblioteka. W kaplicy zresztą poza nabożeństwami odbywają się również seanse filmowe, ale tym nie mniej zasługuje ona na uwagę. Cała malowana rękami malarzy - więźniów, przedstawia niezwykle ciekawy okaz tego rodzaju „sztuki na uwięzi". Jakaś nerwowość, bezład i jednocześnie wypadki prawdziwych wzlotów ducha i fantazji.

Koło jednego z ołtarzy zauważyłem niewielki obraz. Chrystus pośród więźniów sam ubrany w mundur amerykańskiego aresztanta, pociesza swych, cisnących się do Jego stóp „kolegów". Symbolika obrazu, dość nieudolnie zresztą namalowanego, naprawdę wzruszająca.

W cichym gabinecie Franciszkanina, przyległym do biblioteki znajdujemy moc prezentów od więźniów. Wszystko robota własna, nieraz niesłychanie żmudna i trudna. Jakieś nikomu niepotrzebne pomysły, jakieś fantastyczne kombinacje, których jedyną wartością wydaje się ogromna ich pracowitość.

W bibliotece znajdujemy książki w kilku językach. Pierwszą książką polską, która mi wpadła w ręce był... „Dewajtis" Rodziewiczówny. Cóż za skok niesłychany od nadniemeńskiego spokoju do spokoju więzienia w Joliet!

Ale czas już na nas. Przy wyjściu spotykamy orkiestrę więzienną, która przygrywała do obiadu, a teraz zebrała się przy bramie, żeby nas pożegnać. Opuściłem więzienie mając w uszach melodię popularnego marsza z „Carmeny".

Jakby na drugim końcu świata, a przecież tylko o cienką ścianę z paru cegieł, znajduje się wspaniałe, wielopokojowe mieszkanie Pana Naczelnika. Lunch, którym nas przyjął ten dygnitarz więzienny, został podany w takich ramach, jakby opodal nie gnieździły się tysiące ludzi w klatkach, lecz wesoło i beztrosko spędzali czas na boiskach sportowych wychowańcy jakiegoś znanego uniwersytetu.

Płonące na stole świece, w staroangielskim stylu utrzymane, pokój stołowy, bezszelestnie poruszająca się służba. Nie wiele inaczej wyglądałby zapewne lunch u rektora Harvardu.

Na pamiętkę pobytu, dostałem kilka egzemplarzy pisma więziennego „Joliet - Statesville Time". Specjalnie zainteresował mnie numer noworoczny tego organu. Na pierwszej stronicy widzimy miłego uśmiechniętego bobaska, który wyłazi z pod ostatniej karty kalendarza na rok 1936. Bobasek trzyma w rączkach filuterny napis „Happy New Year".

Zaczęliście Nowy „Wesoły Rok" panowie pensjonariusze!

## Bułgarzy jadą na wystawę paryską




— Żeby nas tylko nie wzięli za amerykańskich miliarderów!...

(„Je suis partout")

# CHROPOWATOŚCI

## „MATURA"

Zasiadłszy, jak zwykle, do pisania „Chropowatości", patrzę dziś na czystą kartkę papieru ze szczególnym wzruszeniem.

Na różne tematy się gderało, lecz teraz, wyjątkowo, pragnąłbym wypowiedzie moje wrażenia w słowach niemal tkliwych i rzewnych, takich, jak spojrzenie, którym już po raz pięćdziesiąty drugi obdarzam najnowszy numer „Podbipięty".

Pojęcie o literaturze i dziennikarstwie jest u nas dość szczególne. Naprzyklad kobieta, której fortuna potoczyła się kołem, mówi z westchnieniem: „Cóż mam teraz robić? Chyba się wezmę do tłumaczeń powieści?" Albo ojciec o synu: „Chłopak mi się wałkoni, chyba zostanie dziennikarzem..." A literat — dziennikarz, błądzący jak kometa pomiędzy redakcjami, wpada często na „świetny pomysł": wytrzaśnie skądeś trochę pieniędzy, założy własne pismo i dopiero pokaże, co umie... Zazwyczaj, po paru złożeniach broń papierowa wypada śmiałkom z ręki, a fechtunek kończy się... pospolicie tak zwaną „plajtą". Pismo nawet nie ginie na placu boju, w walce o swoje ideały, ale dematerializuje się w sposób dyskretny, znika — nie wzbudzając niczyjej uwagi, ani... żalu.

My, grono ludzi, skupionych od początku dokoła „Podbipięty", wiedzieliśmy oddawna, że pismo musi powstać, że jest potrzebne, że nie będzie intruzem, ale raczej głosem, na który czeka społeczeństwo oddawna.

Wiedzieliśmy, że to będzie trudna, ciężka praca, wymagająca wielu ofiar, wielu osobistych wyrzeczeń, zwłaszcza w dziedzinie własnej ambicji.

Gdybym mogła odkryć przed Wami, drodzy Czytelnicy, kulisy naszej pracy powszedniej, twardej, jakże gorzkiej niekiedy i jak mimo to — promiennie uśmiechniętej! Gdybyście mogli poznać choć część naszych kłopotów, zrozumielibyście prostą genezę różnych pozornych „niedociągnięć", które musimy wciąż usuwać powoli, krok za krokiem, jak kamienie spod pługa...

Nie szczędzono nam tych kamieni — i to ciężkich, zdolnych niejeden czyn sparaliżować. Minęły trzy kwartały od dnia, gdy ludzie złej woli — bo inaczej ich nazwać niepodobna — rozpuścili pogłoskę, iż „Podbipięta"... dogorywa, że to jego już ostatnie, przedśmiertne drgawki: te numery styczniowe, lutowe i marcowe...

Uszliśmy duży kawał drogi po ścieżce bardzo chropowatej, stromej, pełnej wybojów. Nasz dzień pracy daleki był od „ośmiogodzinnego" ideału... Nieraz, patrząc na grupkę redakcyjną, myślę, że krąg tych ludzi potrafił harować za trzech.

Lecz właśnie w różnych chwilach ciężkich mogliśmy się najgłębiej przekonać, jak silny jest nasz kontakt ze społeczeństwem. Ludzie dobrej woli, nie wiedząc nawet, z jakimi trudnościami walczymy, przychodzili nam w sukurs słowem krzepiącym, a często i uczynkiem. Nie osłabła w nas wiara — lecz dopomogli nam ci wszyscy, którzy wiarą w nas, w nasze dążenia i wysiłki ułatwili przetrwanie dni njacięższych, okresu próby.

Młodziutki „Podbipięta" zdał życiową maturę. Ten pierwszy rok istnienia pisma żegnamy ze szczególnym wzruszeniem: był on ciężkim, lecz koniecznym etapem w dalszej pracy. Nie jesteśmy dziś tak odosobnieni, jak przed dwunastu miesiącami: coraz więcej Polaków myśli, czuje jak my: po polsku.

Jeśli nie jedna zdrowa idea, wypowiadana na tych łamach przesiąknęła głęboko w społeczeństwo i ostatni dziś organicznie z nim związaną cząstkę, — nie nasza w tym zasługa, lecz nasza wielka radość.

Wierzyliśmy zawsze, w najcięższych nawet chwilach, że nurt serc polskich jest głęboki i wartki, że tylko po brzegach zbija się w kupy brudna piana.

I tak być musi.

Wanda Miłaszewska
(Sowa)

## CZYTELNICY „PODBIPIĘTY"

### na szkoły kresowe P. M. S.

W tygodniu ubiegłym otrzymaliśmy od p. Łukaczyńskiej Aleksandry, Węgrów, woj. lubelskie 10 zł. (1 zł. mies.), p. Filusiowej Jadwigi, Lublin, Szopena 18, 10 zł. (1 zł. mies.), p. Jentysowej Julii, Warszawa, Filtrowa 69, 15 zł. (jednoraz.).

Przypominamy wszystkim, że każda najmniejsza bodaj składka bądź miesięczna, bądź też jednorazowa przyśpiesza powstanie szkoły, o której moglibyśmy z dumą powiedzieć: to jest nasze, zbiorowe dzieło, to jest placówka, stworzona przez Czytelników „Podbipięty".

Prosimy uprzejmie składać ofiary w naszej administracji (Chmielna 9) lub też na konto rozrachunkowe Nr. 148 z zaznaczeniem: na P. M. S. Wpływające składki przekazywać będziemy niezwłocznie Zarządowi P. M. S. w Warszawie, umieszczając nazwiska ofiarodawców w niniejszej rubryce „Podbipięty".

W. Mił.

Redaktor: Jan Rembieliński

Wydawca: Publicystyczna Spółka Wydawnicza, S. z o. o.

Kierownik działu literackiego: Stanisław Miłaszewski.

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 635-80 i 635-83.